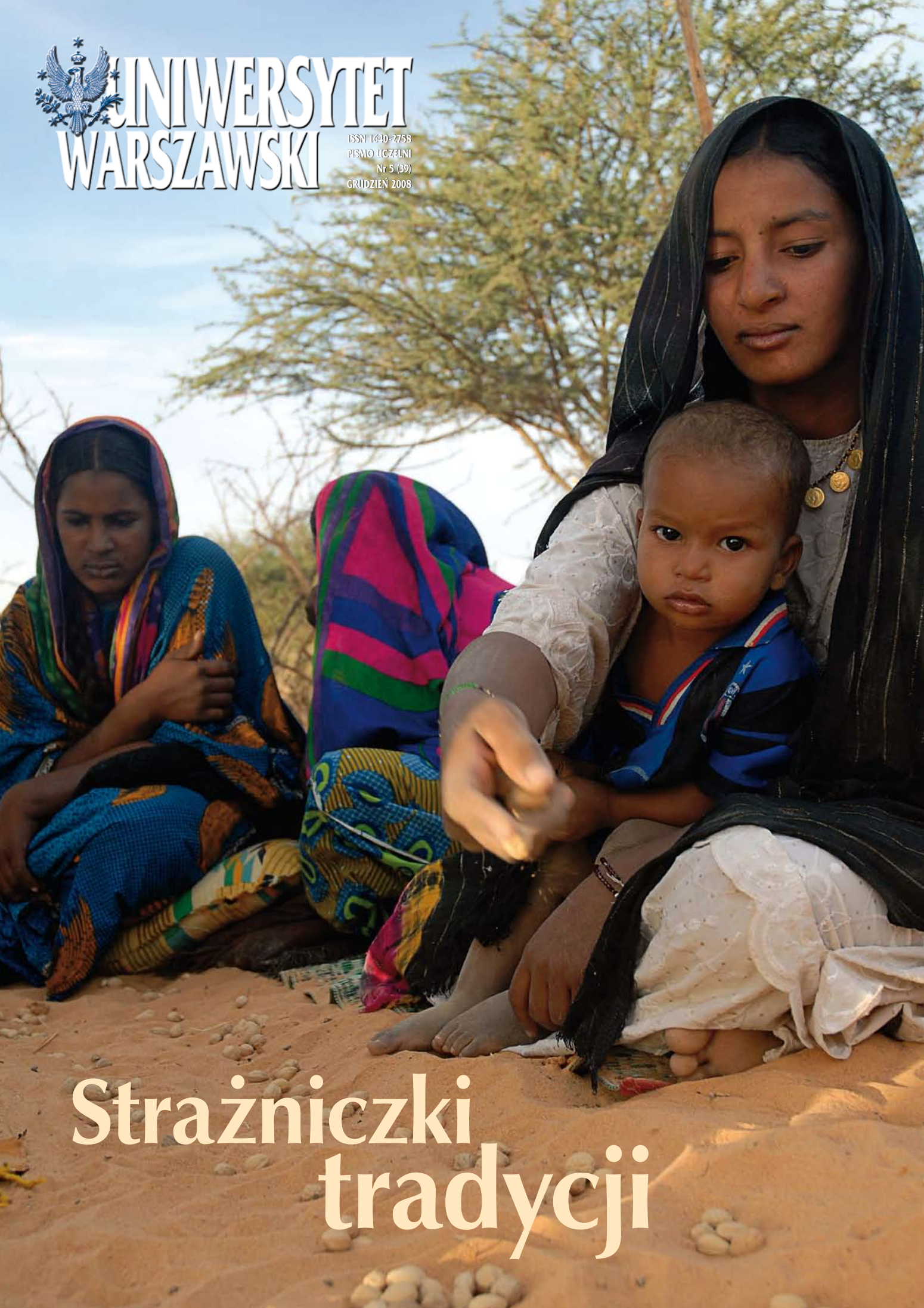




Strażniczki tradycji

Z życia uczelni

- Kronika wydarzeń 2
- Kadry 9
- Kwestionariusz prorektora 10

Wydarzenia

- Zostali z nami 11



24

Studia

- Cambridge i MIT czekają na doktorantów z UW 13

Rozmowa UW

- Mówić językiem antyku 14



26

Badania

- Budzenie odpowiedzialności za miasto 16
- Sztambuchowy zapis turystycznych wrażeń 19
- Społeczny mikrokosmos 22
- Zasłaniający twarz 24
- Zapach w japońskiej kulturze 26
- Polygon dla archeologów 28
- Szlachetny – nieszlachetny 30
- Welcome Gierek? 31



28

Kulturalny uniwersytet

- Warszawa Chopina 33
- Fashionable, dandys, elegant 34

Studencki głos

- Zbawianie Ameryki 36

Z dziejów UW

- Dwie Uranie 38
- Poczet rektorów UW 39



38

Opinie

- Prof. Marcin Kula o szkoleniach BHP 39

Kronika wydarzeń



Dr hab. Marcin Pałys, fot. zbiory prywatne

Nowy prorektor ds. rozwoju i polityki finansowej

W dniu 15 października kolegium elektorów Uniwersytetu Warszawskiego wybrało nowego prorektora uczelni. Do 2012 r. funkcję prorektora UW ds. rozwoju i polityki finansowej będzie sprawował dr hab. Marcin Pałys. W głosowaniu wzięło udział 123 elektorów. 107 z nich głosowało za kandydaturą dr. hab. Marcina Pałysa (przeciw było 9 elektorów, 7 osób wstrzymało się od głosu).

Wybory prorektora ds. rozwoju i polityki finansowej UW odbyły się po raz drugi w tym roku. Wybrany na to stanowisko w dniu 25 kwietnia prof. Stanisław Głąb, zmarł niespodziewanie na początku lipca tego roku, pozostawiając całą uczelnię w żałobie.

Gaudeamus po raz 193.

– Studenci i utalentowani naukowcy wyjeżdżają za granicę, trzeba się starać zatrzymać ich w kraju – mówiła prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor Uniwersytetu Warszawskiego podczas inauguracji roku akademickiego, która odbyła się 1 października.

Pani rektor mówiła o planach uczelni na najbliższy rok. Wspomniała o inwestycjach, które mają się lada chwila rozpocząć: budowie budynku dla wydziałów Neofilologii oraz Lingwistyki Wschodniosłowiańskiej przy ul. Dobrej 55 oraz budynku Centrum Nowych Technologii, który powstanie na Ochocie. – Uniwersytet może być skutecznym konkurentem z innymi uczelniami jedynie wtedy, gdy zaproponuje młodym ludziom różno-

rodne programowo i organizacyjnie sposoby kształcenia oraz zapewni dobre warunki studiowania. Uniwersytet będzie otwierał studia inter – i transdyscyplinarne, makrokie-runki, a także studia międzyuniwersyteckie i międzyuczelniane – mówiła. Przy tworzeniu kolejnych propozycji programowych uczelnia będzie kierowała się przede wszystkim szczególną rolą jaką uniwersytety pełnią we współtworzeniu gospodarki opartej na wiedzy – dodała rektor UW.

Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego, występująca po rektor UW, podkreśliła, że dziedziny, którymi zajmuje się jej resort, są przez rząd traktowane priorytetowo. W porównaniu z tym rokiem, w przyszłym, nakłady na uczelnie wzrosną o 700 mln zł. – Wiem, że do końca nie jest to satysfakcjonujące, ale wydaje mi się, że jest to krok w dobrą stronę – powiedziała minister.

Współpraca z Wilnem

29 października prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW oraz prof. Algirdas Gaižutis, rektor Wileńskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, podpisali umowę o współpracy między obiema uczelniami. Uniwersytety zobowiązały się do prowadzenia wspólnych przedsięwzięć naukowych, dydaktycznych oraz kulturalnych; działań na rzecz wymiany naukowej studentów oraz nauczycieli akademickich.

Wileński Uniwersytet Pedagogiczny słynie z bardzo prężnie działającej Katedry Filologii Polskiej, której początki sięgają 1951 r. Od zawsze było to miejsce kształcenia nauczy-

cieli ze szkół polskich na Litwie. Pracownicy naukowcy katedry są autorami podręczników języka polskiego i literatury polskiej. Biorą aktywny udział w przygotowywaniu programów oraz testów dla polskich szkół.

25 lat współpracy z Hamburgiem

Uniwersytet w Hamburgu jest jedną z uczelni, z którymi UW współpracuje najdłużej. Umowa bilateralna pomiędzy uniwersytetami została zawarta w 1983 r. W 25. rocznicę jej podpisania uczelnie uzgodniły kolejny trzyletni plan dotyczący wspólnych działań naukowych, zarówno z zakresu humanistyki, jak i nauk ścisłych. W sumie do końca 2011 r. zostaną zrealizowane 23 polsko-niemieckie projekty badawcze. Naukowcy będą zajmować się m. in. postmodernistyczną kulturą, językami afrykańskimi, morfologią przebiegu trzęsień ziemi oraz głęboko nieelastycznym rozproszeniem elektronów i protonów w detektorze ZEUS.

KRASP o pakiecie ustaw MNiSW

Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich 3 listopada zaprezentowało oficjalne stanowisko w sprawie projektu pakietu ustaw w obszarze nauki, przedstawionego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Rektorzy podkreślili, że dostrzegają potrzebę wprowadzenia istotnych zmian w polskim systemie badań naukowych. Konferencja pozytywnie oceniła diagnozę obecnego stanu postawioną przez resort oraz zaproponowany w projekcie kierunek zmian systemowych. Szczegółowe regulacje spotkały się z niejednolitą oceną. Sposób wyboru członków Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowego Centrum Nauki wymaga zdaniem rektorów uproszczenia. Wątpliwości budzą również pewne aspekty zasad finansowania nauki, np.: brak systemowego finansowania transferu wiedzy i technologii z jednostek naukowych do gospodarki. Więcej o stanowisku KRASP na stronie: www.krasp.org.pl.

Nagrody premiera

Sześciu pracowników Uniwersytetu Warszawskiego znalazło się wśród laureatów nagród premiera za rozprawy doktorskie, habilitacyjne oraz działalność naukowo-techniczną lub artystyczną w 2007 roku.

Za wybitne osiągnięcia naukowe nagrodę otrzymał prof. Andrzej Jerzmanowski, uznany na całym świecie genetyk i biolog molekularny, kierownik Zakładu Biologii Molekularnej Roślin. Prof. Jerzmanowski od początku kariery naukowej związany jest z Wydziałem Biologii UW, który ukończył w 1969 r. Kilka lat spędził na stażach naukowych w Wielkiej Brytanii, Niemczech oraz Stanach Zjednoczonych. W latach 1995-2005 prowadził badania dla Instytutu Medycznego Howarda Hughesa (USA). Jest autorem wielu cennych publikacji, regularnie ukazujących się

w najbardziej prestiżowych czasopismach międzynarodowych oraz laureatem licznych nagród. Od 2002 r. jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk.

W kategorii rozpraw doktorskich nagrody premiera otrzymali: dr Miłosz Giersz (Instytut Archeologii, Ośrodek Badań Prekolombijskich), dr Rafał Kuś (Instytut Fizyki Doświadczalnej), dr Józef Pawłowski (Wydział Orientalistyczny), dr Mateusz Salwa (Instytut Filozofii) oraz dr Grzegorz Tchorek (Wydział Zarządzania).

Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

Prof. Krzysztof Woźniak z Zakładu Chemii Teoretycznej i Krystalografii otrzymał subsydium w ramach programu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej MISTRZ. Nagroda przeznaczona jest dla wybitnych polskich naukowców, którzy pracę badawczą potrafią pogodzić z zaangażowaniem w dydaktykę. W tegorocznej edycji programu wzięło udział 56 naukowców zajmujących się naukami przyrodniczymi i medycznymi. Fundacja przyznała swoje subsydia 12 z nich.

Prof. Woźniak jest autorem ponad 100 publikacji naukowych oraz promotorem i recenzentem licznych prac doktorskich z zakresu chemii fizycznej i krystalochemii. Jego zainteresowania badawcze to m.in. kontinuum słabych oddziaływań, eksperymentalne badania gęstości elektronowej w fazie stałej, spektroskopia fotoelektronowa i jej zastosowania, materiały elektroniczne, nowe rodzaje super-zasad i super-kwasów oraz chemia supramolekularna.

Wśród piętnastu osób wyróżnionych przez FNP w programie POWROTY/HOMING dwie to młodzi badacze z UW: dr Krzysztof Turzyński z Wydziału Fizyki, prowadzący w ostatnim czasie badania na Uniwersytecie Michigan oraz dr Michał Barbasiewicz z Wydziału Chemii, powracający na UW z Friedrich Alexander Universität Erlangen-Nürnberg. Program POWROTY ma skłaniać młodych polskich naukowców do powrotu z zagranicznych placówek badawczych i kontynuowania swej kariery w krajowych instytucjach naukowych.

Prof. Szymon Rudnicki laureatem nagrody im. Jana Karskiego i Poli Nireńskiej

Prof. Szymon Rudnicki, pracownik UW, został tegorocznym laureatem nagrody im. Jana Karskiego i Poli Nireńskiej, przeznaczonej dla autorów publikacji dokumentujących historię stosunków polsko-żydowskich oraz wkład Żydów w polską kulturę.

Nagrodę ufundował w 1992 r. Jan Karski, kurier rządu polskiego w Londynie w okresie II wojny światowej, który przekazał na Zachód informacje o postępującej zagładzie Żydów polskich. Wyróżnienie miało uhonorować pamięć jego zmarłej żony – Poli Nireńskiej.

skiej, wybitnej choreograf, która w trakcie wojny uratowała się z rąk nazistów. Obecnie nagroda administrowana jest przez YIVO Institute for Jewish Research w Nowym Jorku. W poprzednich edycjach nagrodę otrzymali m.in. Hanna Krall oraz ks. Stanisław Musiał, a w ubiegłym roku prof. Joanna Tokarska-Bakir z ISNS UW.

Prof. Szymon Rudnicki jest wybitnym badaczem najnowszej historii Polski. Zajmuje się przede wszystkim historią polskiej prawicy w pierwszej połowie XX w. oraz kwestią żydowską w okresie międzywojennym. Jego liczne publikacje zdobyły uznanie w Polsce, Izraelu, USA, Niemczech oraz Rosji. Od lat związany jest z Instytutem Historycznym UW, zasiada także w kolegium redakcyjnym „Kwartalnika Historii Żydów Polskich” (ZIH) oraz Radzie Archiwalnej przy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych.

Dr hab. Tomasz Bigaj zdobywcą prestiżowego unijnego grantu

Dr hab. Tomasz Bigaj z Instytutu Filozofii UW otrzymał europejskie stypendium wyjazdowe (EIF- Marie Curie Intra-European Fellowship for Career Development). Unijne granty są przyznawane w drodze konkursu ogłaszanego przez Komisję Europejską. Dzięki stypendium dr hab. Bigaj spędzi rok akademicki 2008/2009 na Uniwersytecie w Bristolu, gdzie we współpracy z grupą badawczą „Metaphysics in Science” będzie realizował swój projekt zatytułowany „Filozofia mechaniki kwantowej a metafizyka własności dyspozycyjnych”. Jego celem jest powiązanie badań prowadzonych w metafizyce własności dyspozycyjnych z niektórymi pytaniami dotyczącymi filozoficznych interpretacji mechaniki kwantowej.

Prof. Oded Stark po raz kolejny w czołówce profesorów ekonomii niemieckiego obszaru językowego

15 września gazeta *Handelsblatt* opublikowała swoją doroczną listę 200 czołowych profesorów ekonomii działających w niemieckim obszarze językowym (Niemcy, Austria i niemieckojęzyczna część Szwajcarii). Prof. Oded Stark, wykładowca na Wydziale Nauk Ekonomicznych oraz w Ośrodku Badań nad Migracjami, po raz drugi z rzędu został uwzględniony w tym prestiżowym zestawieniu. Znalazł się w pierwszej piątce profesorów ekonomii niemieckiego obszaru językowego; otwiera tę listę w Austrii i jest na drugiej pozycji w Niemczech.

Profesor Stark wykłada na UW od 2005 r. Jego zajęcia, dotyczące m.in. akumulacji kapitału ludzkiego i migracji siły roboczej, pozwalają młodym naukowcom zbliżyć się do granic nowoczesnej analizy mikroekonomicznej. Ostatnio profesor Stark ufundował nagrodę dla młodych doktorów ekonomii za wybitne osiągnięcia publikacyjne.

Prof. Ewa Bartnik najbardziej przyjazna mediom

Prof. Ewa Bartnik otrzymała nagrodę dla naukowca najbardziej przyjaznego dziennikarzom. Plebiscyt zorganizowało Polskie Stowarzyszenie Dziennikarzy Naukowych „Naukowi.pl”. Członkowie stowarzyszenia wybrali naukowca na którego pomoc zawsze mogą liczyć.

Prof. Ewa Bartnik jest genetykiem. Pracuje w Instytucie Genetyki i Biotechnologii na Wydziale Biologii UW oraz w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN. W swojej pracy bardzo dużo czasu poświęca popularyzacji wiedzy z zakresu genetyki (więcej o badaniach prof. Bartnik czyt.: J. Jasiewicz-Hall, „Czy jadłeś już dzisiaj DNA?”, „Uniwersytet Warszawski” nr 4/2008 r.).

„Nowe trendy” w naukach ekonomicznych i zarządzaniu

Wśród laureatów II edycji konkursu na najlepsze prace doktorskie z zakresu nauk ekonomicznych i zarządzania znalazł się dr Łukasz Hardt, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych. Konkurs pod hasłem „Nowe trendy” organizowany jest przez Fundację Promocji i Akredytacji Kierunków Ekonomicznych, we współpracy z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Konfederacją Pracodawców Polskich.

Nagrodzona rozprawa doktorska pt. „Rozwój ekonomii kosztów transakcyjnych. Od koncepcji do operacjonalizacji”, została napisana pod kierunkiem naukowym prof. Zbigniewa Hockuby. Jej celem było przedstawienie historii powstania i rozwoju ekonomii kosztów transakcyjnych (EKT). Autorowi – jak sam tłumaczy – zależało na wyjaśnieniu wewnętrznej logiki rozwoju EKT, jak też pokazaniu czynników, które ten rozwój stymulowały.

Konkurs Urzędu Patentowego

W VI edycji konkursu na najlepszą pracę habilitacyjną, doktorską, magisterską i studencką o tematyce związanej z ochroną własności przemysłowej, sześć nagród zdobyli pracownicy i absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego. Konkurs zorganizował Urząd Patentowy. Nagrody zostały ufundowane m.in. przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwo Gospodarki oraz Związek Banków Polskich.

Dr Justyna Mordwiłko-Osajda z Wydziału Prawa i Administracji zdobyła nagrodę ministra nauki i szkolnictwa wyższego za rozprawę doktorską pt. „Pojęcie i zakres ochrony znaku towarowego”, przygotowaną pod kierunkiem prof. Jana Błeszyńskiego.

Nagrody otrzymali też autorzy czterech prac magisterskich: Julia Babińska („Identyfikacja i podobieństwo oznaczeń w prawie wspólnotowych znaków towarowych”), Dominika Kwiatkiewicz („Nie-

zarejestrowany wzór wspólnotowy”), Dominik Rafałko („Ochrona znaków towarowych przed bezprawnym wykorzystaniem w domenach internetowych”) oraz Agnieszka Witkowska („Cywilnoprawna ochrona know-how”).

Nagrodę specjalną prezesa Urzędu Patentowego otrzymał Marcin Nowak autor pracy pt. „Ochrona topografii układów scalonych”.

Dr Hubert Kowalski autorem nagrodzonej pracy o UW

W rozstrzygniętym niedawno konkursie o nagrodę specjalną za najlepszą pracę maderską, publikację naukową lub popularnonaukową dotyczącą Uniwersytetu Warszawskiego, zwyciężył dr Hubert Kowalski. Laureat został nagrodzony za książkę pt. „Antyczne tradycje w dekoracji rzeźbiarskiej gmachów Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu” wydaną w tym roku nakładem Wydawnictw UW. Praca poświęcona jest fenomenowi zabytkowego campusu Uniwersytetu Warszawskiego, przybliża dzieje najważniejszych gmachów i ich dekoracji rzeźbiarskiej. – Ta nagroda jest dla mnie bardzo ważna. Będzie dla mnie inspiracją do dalszych badań nad dziejami UW – powiedział laureat po ogłoszeniu wyników konkursu.

Dr Hubert Kowalski jest adiunktem w Zakładzie Tradycji Antyku w Sztukach Wizualnych Instytutu Archeologii. Zajmuje się recepcją kultury artystycznej starożytnej Grecji i Rzymu w sztuce polskiej XVIII i XIX w.

Nagroda została ufundowana z darowizn członków Klubu Absolwentów UW.

Więcej o badaniach prowadzonych przez dr. Kowalskiego można dowiedzieć się z artykułów „Dekoracja rzeźbiarska Pałacu Kazimierzowskiego” („Uniwersytet Warszawski”, nr 3/2008 r.) lub „Brama uniwersytecka – przedsiónek Wiedzy” („Uniwersytet Warszawski”, nr 2/2008 r.). W tym numerze znajdują Państwo artykuł dr. Kowalskiego na temat posagu Uranii (czyt. str. 38).

Najlepsze varsaviana

Historycy dr Robert Gawkowski z Muzeum UW oraz dr Błażej Brzostek z Instytutu Historycznego otrzymali wyróżnienia Towarzystwa Miłośników Historii za najlepsze varsaviana. Dr Gawkowski, stały współpracownik naszej redakcji, autor cyklu poświęconego sylwetkom rektorów UW, został nagrodzony za „Encyklopedię klubów sportowych Warszawy i jej najbliższych okolic lat 1918-1939”. Dr Błażej Brzostek otrzymał wyróżnienie za książkę pt. „Za progiem: codzienność w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955-1970”.

Nagrody Festiwalu Nauki

Dr Marek Ostrowski, wykładowca na Wydziale Biologii UW został laureatem II edycji nagrody „Złotej Róży”, przyznawa-

nej przez radę programową Festiwalu Nauki, Instytut Książki oraz redakcję miesięcznika „Nowe Książki”. Książka dr. Ostrowskiego „Tryptyk Warszawski” została uznana za najlepszą publikację popularnonaukową sezonu wydawniczego 2007/2008. Więcej o badaniach dr Ostrowskiego w artykule „Budzenie odpowiedzialności za miasto” (czyt. str. 16-18).

Wyróżnienie w konkursie otrzymał dr Michał Bilewicz, pracownik Wydziału Psychologii UW za prezentację „Swoi i obcy. Jak ich widzimy?”, przedstawioną podczas debaty „Polska i świat: wizerunek przez socjologów i psychologów malowany”, która odbyła się w ramach Festiwalu Nauki.

Nagrody dla absolwentów

Izabela Michna, absolwentka Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW otrzymała I nagrodę w XXIV Ogólnopolskim Konkursie Polskiego Towarzystwa Geograficznego za najlepszą pracę maderską z zakresu geografii. Wyróżniona praca pt. „Generalizacja nazw geograficznych na mapach atlasowych” została napisana pod kierunkiem prof. Jacka Paławskiego, kierownika Katedry Kartografii. Izabela Michna jest obecnie doktorantką WGiSR UW.

Również wśród laureatów konkursu Krajowej Rady Spółdzielczej na najlepszą pracę badawczą z zakresu spółdzielczości znalazła się absolwentka naszej uczelni. Anna Rok z Instytutu Socjologii zdobyła nagrodę II stopnia za pracę „Kapitał społeczny a programy reintegracji społecznej. Przypadek spółdzielni socjalnych”, napisaną pod kierunkiem dr. Pawła Poławskiego z Zakładu Problemów Społecznych i Planowania Społecznego IS UW.

Najlepsi programiści wśród studentów

Po raz kolejny młodzi informatycy z Uniwersytetu Warszawskiego okazali się bezkonkurencyjni. Wszystkie miejsca na podium XIII Akademickich Mistrzostw Polski w Programowaniu Zespołowym (AMPPZ) zajęły drużyny reprezentujące naszą uczelnię. W konkursie, rozegranym w dniach 7-8 listopada w Poznaniu, brało udział ponad 50 trzyosobowych zespołów z całej Polski.

Pierwsze miejsce w mistrzostwach zajęła drużyna UW2, w składzie: Tomasz Kulczyński, Jakub Łącki oraz Piotr Mikulski. Drugie miejsce wywalczył zespół UW3, w składzie: Karol Kurach, Krzysztof Pawłowski, Michał Pilipczuk. Ostatnie miejsce na podium przypadło drużynie UW4, złożonej z Piotra Niedźwiedzia, Wojciecha Śmietanki oraz Wojciecha Tyczyńskiego.

Dobre występy uniwersytetu w zawodach programistów stały się już tradycją. W ubiegłorocznej edycji mistrzostw wszystkie 8 zespołów z naszej uczelni znalazło się w pierwszej szesnastce, zdobywając m.in. dwa pierwsze miejsca.

Uniwersytet przyjazny mobilności

Z okazji 10-lecia programu Erasmus w Polsce Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji zorganizowała konkurs „Uczelnia przyjazna mobilności”. Był on przeznaczony dla wszystkich polskich szkół wyższych uczestniczących w programie Erasmus. Jury oceniało przede wszystkim oryginalność oraz innowacyjność działań uczelni na rzecz promocji mobilności. Spośród zgłoszeń nadesłanych z całej Polski wybrano sześć szkół, które najlepiej wypełniają te zadania. Uczelnie otrzymały jedno z czterech wyróżnień: *niska, średnia, wysoka* bądź *bardzo wysoka skala mobilności*.

Uniwersytet Warszawski nie zmieścił się w proponowanej w konkursie skali. Jako jedyny otrzymał wyróżnienie *bardzo duża, żeby nie powiedzieć ogromna, skala mobilności*. Jak napisano w uzasadnieniu, na szczególne uznanie zasługują nasze „wyniki liczbowe, które mogą konkurować z wynikami niektórych krajów; rozwiązania informatyczne oraz systemowe dofinansowanie”.

Sześć z UW

Uczelnia Mines ParisTech ogłosiła wyniki drugiego rankingu 350 najlepszych uniwersytetów świata. Uniwersytet Warszawski znalazł się – wspólnie z innymi uczelniami – na 89. miejscu. Uniwersytet wyprzedził wiele znakomitych placówek z całego świata. Niżej w zestawieniu znalazły się m.in. London Business School, czy paryska Sorbona. UW jest jedyną polską szkołą uwzględnioną w zestawieniu.

Ranking Mines ParisTech oparty jest na analizie zatrudnienia absolwentów poszczególnych szkół wyższych na stanowiskach członków zarządów w pięciuset największych korporacjach międzynarodowych (lista przedsiębiorstw została zaczerpnięta z magazynu „Fortune”). Przyjęcie takiego kryterium badawczego pozwoliło na określenie wyników nauczania w odniesieniu do potrzeb rynku pracy. Pomysłodawcy rankingu twierdzą, że znalezienie zatrudnienia na jednym z najwyższych stanowisk w dużej korporacji jest sukcesem porównywalnym ze zdobyciem prestiżowego wyróżnienia za osiągnięcia naukowe.

Pomysłodawcy rankingu mają nadzieję przeprowadzać badanie co roku. Ich zdaniem opracowanie pozwala na uchwycenie tendencji umykających w innych zestawieniach.

Psychologiczne aspekty wypadków drogowych

Stan polskich dróg pozostawia wiele do życzenia, poziom kultury i umiejętności polskich kierowców niekiedy też. Co roku dochodzi w naszym kraju do kilkudziesięciu tysięcy wypadków drogowych. Ginie w nich kilka tysięcy osób a dziesiątki tysięcy zostają ranne. Pomoc medyczna pomaga uśmierzyć ból fizyczny, ale jak poradzić sobie z ranami, których nie widać – problemami psychicz-

nymi pojawiającymi się u uczestników kolizji? Psychologiczne konsekwencje wypadków drogowych śmiało można określić kolejnym polskim problemem społecznym.

Diagnozę zagadnienia zamierza przedstawić zespół z Interdyscyplinarnego Centrum Genetyki Zachowania UW, skupiony wokół projektu „Przyczyny i następstwa wypadków drogowych”. Jego celem jest poznanie mechanizmów odpowiedzialnych za spowodowanie wypadków oraz za wystąpienie problemów emocjonalnych u ich ofiar. Naukowcy chcą opracować plan systemu opieki psychologicznej i szkoleń psychokorekcyjnych dla uczestników zdarzeń drogowych.

Wszystkich zainteresowanych wzięciem udziału w projekcie zapraszamy na stronę internetową projektu www.wypadki-drogowe.pl.

Wizyta pierwszej damy Ukrainy

7 listopada Uniwersytet Warszawski gościł pierwszą damę Ukrainy. Katerina Juszczenko uczestniczyła w uroczystym otwarciu wystawy zatytułowanej „Wielki Głód na Ukrainie”, prezentowanej w Pałacu Kazimierzowskim. Wystawa towarzyszyła międzynarodowej konferencji naukowej „Ukraina między Wschodem a Zachodem”, zorganizowanej przez Katedrę Ukrainistyki. Podczas sesji zaprezentowano najnowsze wyniki badań dotyczących ukraińskiej historii, sztuki oraz literatury.

Otwierając wystawę, Katerina Juszczenko, podkreśliła jak bardzo na przestrzeni lat zmieniły się nastroje towarzyszące polsko-ukraińskim kontaktom. – Nasze stosunki miały wiele trudnych i bolesnych momentów – mówiła pierwsza dama. – Dzisiaj jednak Ukraińcy sądzą, że Polska jest najlepszym przyjacielem Ukrainy. Zasługi na tym polu ma m.in. Uniwersytet Warszawski oraz Katedra Ukrainistyki, które stworzyły możliwość do dyskusji na temat trudnych aspektów wspólnej historii – podkreśliła pani prezydentowa.

Nawiązując do problematyki wystawy, Katerina Juszczenko tłumaczyła jak ogromne piętno na jej kraju odcisnął okres Wielkiego Głodu. – Dzisiaj niezmiernie ważne jest nie tylko podtrzymywanie pamięci o ofiarach. Musimy również postarać się zrozumieć, jak w Europie mogło dojść do podobnych wydarzeń i jak możliwe było ukrywanie ich przez dziesiątki lat – dodała na zakończenie.

Konferencja „Ukraina między Wschodem a Zachodem” była jednym z pierwszych wydarzeń odbywających się w ramach Święta Uniwersytetu Warszawskiego, upamiętniającego 192. rocznicę powstania uczelni. Program obchodów był niezwykle bogaty – konferencje naukowe, wystawy oraz koncerty trwały przez cały listopad. Punktem kulminacyjnym był jak co roku „Koncert urodzinowy Uniwersytetu Warszawskiego”, który odbył się 17 listopada. Publiczność zgromadzona w Palladium mogła podziwiać m.in. jazzowy występ zespołu Artur Dutkiewicz Trio.

O innych wydarzeniach, które odbyły się w ramach Święta UW, piszemy na dalszych stronach naszego pisma.

Laureat Nagrody Nobla na UW

„Analityczne zastosowania chromatografii cieczowej” były tematem III międzynarodowej konferencji środowiska chemików analityków, zorganizowanej w dniach 23-24 października na Wydziale Chemii UW. Pierwsza z konferencyjnych sesji poświęcona była pamięci zmarłego nagle w lipcu tego roku prof. Stanisława Głęba, prorektora UW ds. rozwoju i polityki finansowej, byłego dziekana Wydziału Chemii UW, wybitnego specjalisty w dziedzinie chemii analitycznej (wspomnienie o prof. Stanisławie Głębie na str. 40).

Tematem konferencji były zagadnienia związane z wykorzystywaniem wysoko-sprawnej chromatografii cieczowej i jonowej. Naukowcy zastanawiali się nad możliwościami jej zastosowania w badaniach naukowych oraz w analizie żywności, wody, produktów farmaceutycznych, materiałów biologicznych i próbek środowiskowych.

Gościem specjalnym konferencji był prof. Aaron Ciechanover z Technion (Israel Institute of Technology), laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii z 2004 r. Podczas drugiego dnia konferencji prof. Ciechanover wygłosił wykład zatytułowany „Why our proteins have to die so we shall live?”, w którym opowiedział o historii badań naukowych nad białkami i swoimi w nich udziale. Razem z dwoma innymi chemikami - Avramem Herszko oraz Irwinem Rose, odkrył proces degradacji białek w komórkach, w którym bierze udział ubikwityna, za co Królewska Szwedzka Akademia Nauk przyznała im najwyższe naukowe wyróżnienie. Odkryte przez nich mechanizmy mają ogromny wpływ na rozwój badań w medycynie, zwłaszcza w dziedzinie leczenia chorób neurodegeneracyjnych, takich jak choroba Parkinsona lub Alzheimer'a oraz w zakresie walki z nowotworami.

O kapitalizmie kataklizmowym

20 listopada gościła na naszej uczelni Naomi Klein, kanadyjska dziennikarka, której sławę przyniosła wydana w 2000 r. książka „No Logo”. Praca natychmiast stała się manifestem alterglobalizmu. Wizyta na UW związana była z publikacją jej najnowszej książki zatytułowanej „Doktryna szoku”, w której Klein przedstawiła teorię tzw. „kapitalizmu kataklizmowego”. Jak opowiadała podczas wykładu w Auditorium Maximum, zbierając materiały do książki przekonała się jak wiele wspólnych elementów łączy zjawiska społeczno-gospodarcze, które zaszły w wielu, bardzo odległych od siebie krajach w ostatnich 30 latach. Analiza reform politycznych bądź gospodarczych wprowadzonych w Polsce, Chinach i Rosji oraz państwach Ameryki Łacińskiej (Chile, Argentynie, Urugwaju, Brazylii) doprowadziła ją do stwierdzenia, że okresy wstrząsów



Naomi Klein, fot. A. Kowalczyk, MUZA S.A.

politycznych bądź katastrof przyrodniczych i związanego z nimi chaosu są wykorzystywane przez polityków do przeprowadzania drastycznych reform: likwidowania osłon socjalnych i pospiesznych prywatyzacji majątku państwowego”. Przemiany te określiła mianem „terapii szokowej”. Jej konsekwencją jest skupienie władzy w rękach kilku największych korporacji i zamożnych polityków.

Dużo uwagi podczas wykładu Klein poświęciła krytyce polityki Stanów Zjednoczonych w Iraku oraz obecnemu kryzysowi w USA, który jej zdaniem ma nie tylko ekonomiczny wymiar. – Jesteśmy w tej chwili w centrum kryzysu globalnego, nie tylko finansowego. Dotyka on też kwestii globalnego ocieplenia, zdrowia oraz edukacji – tłumaczyła dziennikarka. Reakcję prezydenta Georga W. Busha na kryzys, której kwintesencją był tzw. plan Paulsena, Klein nazwała „klasycznym przykładem kataklizmowego kapitalizmu”.

Spotkanie z dziennikarką zostało zorganizowane przez Instytut Nauk Politycznych, wydawnictwo MUZA S.A. oraz Tygodnik Europa.

Prof. Pipes z wykładem na UW

Prof. Richard Pipes, światowej sławy sowietolog, był gościem Studium Europy Wschodniej UW. Profesor wygłosił wykład otwierający konferencję jubileuszową, zorganizowaną z okazji dziesięciolecia działalności Studium. W wykładzie zatytułowanym „Jak dzisiejsi Rosjanie postrzegają samych siebie i resztę świata” („How today's Russians view themselves and the rest of the World”) mówił przede wszystkim o nastrojach społecznych panujących w dzisiejszej Rosji. – Tylko 22% Rosjan jest przywiązanych do ustroju demokratycznego, podczas gdy aż 53% jest mu przeciwnych – mówił profesor.

– Ciekawa jest też kwestia zaufania, jakim obywatele darzą państwo: najwyższy jego stopień jest wśród Amerykanów i Szwedów, a najniższy właśnie wśród Rosjan – powiedział. Taki stan rzeczy wynika z bardzo wysokich oczekiwań, jakie obywatele rosyjscy mają wobec swojego państwa. W zderzeniu z przyzwyczajeniami z czasów ZSRR, teraz czują, że „nie dostają nic”. Ponad 1/3 respondentów twierdzi, że dlatego właśnie nie ma żadnych zobowiązań wobec swojego kraju.

Prof. Richard Pipes jest historykiem, specjalizuje się w historii Rosji. W latach 1981-1982 był doradcą ds. ZSRR i Europy Wschodniej prezydenta Ronalda Reagana. Urodził się w 1923 r. w Cieszynie, gdzie jego rodzice mieli fabrykę czekolady. Część dzieciństwa spędził w Warszawie. W 1939 r. wraz z rodzicami przeniósł się do Stanów Zjednoczonych.

Konferencja Studium Europy Wschodniej odbyła się pod koniec października.

Prof. Gerd Meyer doktorem *honoris causa* UW

W dniu 24 listopada odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* prof. Gerdowi Meyerowi z Instytutu Nauki o Polityce Uniwersytetu Karla Eberharda w Tybindze (Niemcy). Honorowy doktorat został przyznany prof. Meyerowi na mocy uchwały Senatu UW z dnia 18 czerwca 2008 r., na wniosek Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW.

Prof. Gerd Meyer jest wybitnym politologiem. Jego zainteresowania badawcze ewoluowały, początkowo zajmował się analizą systemów politycznych państw bloku wschodniego, szczególnie ZSRR i NRD. Następnie zajął się problematyką kultury politycznej oraz psychologii politycznej.

Więcej o nowym doktorze *honoris causa* UW w następnym numerze naszego pisma.

30 lat polskich badań w Andach

Minęło już trzydzieści lat od rozpoczęcia badań przez członków Polskiej Wyprawy Naukowej w Andy i dwadzieścia od momentu utworzenia Andyjskiej Misji Archeologicznej UW, poprzedniczki Ośrodka Badań Prekolumbijskich. O historii misji i jej dotychczasowych osiągnięciach dyskutowali naukowcy w czasie sesji, która odbyła się 18 listopada. – Przez lata zdobyliśmy doświadczenie i odnieśliśmy sukcesy, które przełożyły się na – nie waham się tego powiedzieć – międzynarodowe uznanie – mówił prof. Mariusz Ziółkowski, kierownik OBP UW.

Konferencję otworzyła prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, wspominając swój pobyt w Peru. – Wizyta w tym miejscu była fascynująca – mówiła pani rektor. – Jako fizyk, dostrzegam duże podobieństwo metod badawczych archeologów i przedstawicieli mojej dziedziny naukowej. W obu przypadkach musimy myśleć nie



Prof. Gerd Meyer, fot. M. Kluczek

tylko o nauce, ale i o pozyskiwaniu funduszy na badania – powiedziała pani rektor.

Głos w trakcie sesji zabrali zaangażowani w andyjskie badania naukowcy, m.in. prof. Mariusz Ziółkowski, dr Andrzej Krzanowski, dr Miłosz Giersz oraz mgr Maciej Sobczyk. Zaprezentowali oni prace archeologiczne, antropologiczne i historyczne prowadzone obecnie na obszarze andyjskim przez polskich naukowców oraz badania Polskiej Wyprawy Naukowej w Andy z lat 1978, 1985 i 1987. Więcej o badaniach OBP UW można przeczytać w artykule J. Jasiewicz-Hall, „W wysokich Andach i na pustynnym wybrzeżu Oceanu” („Uniwersytet Warszawski” nr 4/2008 r.).

Szanse i wyzwania szkolnictwa wyższego w Polsce

„Efekty kształcenia – szanse i wyzwania szkolnictwa wyższego w Polsce” to temat konferencji zorganizowanej przez Uniwersytet Warszawski i Fundację Rozwoju Systemu Edukacji, która odbyła się 29 października. Uczestnicy obrad skupili się przede wszystkim na konkurencyjności szkolnictwa wyższego

w Polsce oraz powiązaniu efektów kształcenia z kwalifikacjami zawodowymi absolwentów wyższych uczelni. O tym właśnie zagadnieniu mówiła w swym wystąpieniu prof. Urszula Sztandar-Sztanderska. – Badania wykazują, że najwyższe szanse zatrudnienia mają absolwenci szkół wyższych z tytułem zawodowym magistra. Jak się okazuje w błędzie są ci, którzy sądzą, że równoważnym tytułem może być licencjat. Te same badania wyraźnie wskazują, że wyższe szanse na znalezienie pracy ma absolwent szkoły policealnej lub pomaturalnej, niż absolwent szkoły wyższej z tytułem licencjata lub inżyniera – podkreśliła.

Dużo uwagi poświęcono też problemowi oceny i zapewnienia wysokiej jakości kształcenia. Mówił o tym prof. Paweł Stępień, pełnomocnik rektora UW ds. jakości kształcenia. – Uzyskiwanie wysokiej jakości kształcenia na Uniwersytecie Warszawskim nierozdzielnie wiąże się z autonomią, tradycją i godnością społeczności akademickiej i możliwe jest dzięki osiąganiu założonych przez nią celów – powiedział.

Konferencja odbyła się w czasie, gdy zespół ekspertów z Biura ds. jakości kształcenia opra-

cowuje wyniki obszernego ogólnouniwersyteckiego badania opinii studentów na temat warunków kształcenia na UW. W badaniu przeprowadzonym od czerwca do września wzięło udział ponad 13 000 studentów. Raport przygotowany na podstawie ocen studentów będzie znany do końca bieżącego roku.

Ambasador literatury polskiej w Chinach

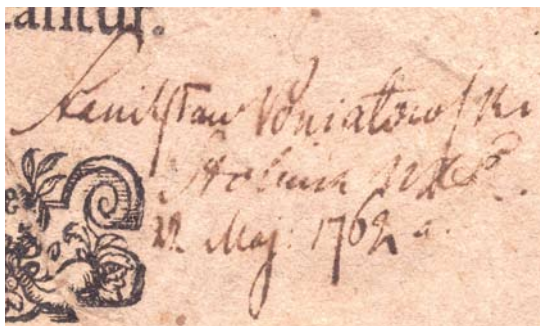
Kocha Mickiewicza i Sienkiewicza. Zachwyca się Gombrowiczem i Tokarczuk. Swoje życie poświęciła polskiej literaturze i poezji. Dziś nazywana jest ambasadorem literatury polskiej w Chinach – prof. Yi Ljun, tegoroczna laureatka nagrody „Polonicum”. Wyróżnienie Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców „Polonicum” UW przyznawane jest obcokrajowcom działającym na rzecz krzewienia języka polskiego oraz wiedzy o polskiej kulturze i historii na świecie. Osiągnięcia prof. Ljun na tym polu są nie do przecenienia.

Prof. Ljun w latach 50. ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po powrocie do kraju pracowała w chińskim radiu. W 1964 r. zaczęła wykładać na Wydziale Języków Obcych Uniwersytetu Pekńskiego (obecnie Pekński Uniwersytet Języków Obcych), gdzie do dnia dzisiejszego kieruje Katedrą Języka Polskiego. Przetłumaczyła na język chiński kilkadziesiąt najważniejszych dzieł literatury polskiej, m.in. „Pana Tadeusza” oraz III i IV część „Dziadów” Adama Mickiewicza, „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza czy „Ferdynarda” Witolda Gombrowicza. Jest autorką „Literatury Polskiej”, „Zarysu powojennej literatury polskiej” oraz wielu artykułów na temat polskiej literatury w chińskiej encyklopedii i „Wielkim słowniku literatury obcych”. W 2000 r. otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, a w 2004 r. Medal Komisji Edukacji Narodowej.

W tegorocznej edycji konkursu „Polonicum” przyznano również dwa wyróżnienia. Otrzymały je: Katedra Języka i Literatury Polskiej w Zagrzebiu oraz Desiderio Navarro Perez, dyrektor Centrum Teoretyczno-Kulturalnego „Criterios” w Hawanie.

Skarby biblioteki Instytutu Historycznego

Biblioteka Instytutu Historycznego ma w swoich zbiorach ponad 200 tys. woluminów i jest największym samodzielnym księgozbiorem o profilu historycznym w Polsce. W dniach 17 listopada – 3 grudnia najcenniejsze skarby biblioteki zostały zaprezentowane na wystawie „Skarby Biblioteki Instytutu Historycznego UW”. Zwiedzający mogli obejrzeć stare druki z XVI-XVIII w., a także odlewy i odciski pieczęci. – Zdecydowaliśmy się na wystawienie jedynie 17 woluminów – powiedział dr Marek Janicki, organizator wystawy.



Nota własnościowa Stanisława Poniatowskiego na karcie tytułowej „Decisiones”, zbiory biblioteki Instytutu Historycznego UW

– Jest to jednak najcenniejsza część kolekcji. Wśród eksponatów znalazł się egzemplarz „Decisiones” Johanna Koeppena w wydaniu z 1663 r., popularnego w Rzeszy zbioru orzeczeń sądowych z wpisem własnościowym samego Stanisława Poniatowskiego, późniejszego króla Polski: „Stanisław Poniatowski stolnik W(ielkiego) X(ięstwa) L(itewskiego) 22 Maj: 1762 a(nno)”. Wydaje się – mówił dr Janicki – że egzemplarz ten pochodzi z najstarszej części prywatnego księgozbioru przyszłego władcy. Jest też interesującym przykładem jego zainteresowań prawniczych. Do cymeliów należy także „Historia londyńskiego Królewskiego Towarzystwa Nauk” z dedykacją jego sekretarza Henriego Oldenburga dla Jana Heweliusza, członka Royal Society od 1664 r.

Kolekcja starych druków będąca w posiadaniu Instytutu Historycznego liczy ponad tysiąc dzieł z okresu od XVI do XVIII w. Część zbiorów trafiła na uniwersytet jeszcze w latach 30. XX w., wiele po II wojnie światowej. Obok prac z zakresu historiografii i nauk pomocniczych historii w kolekcji jest szereg rzadkich druków źródłowych, atlasów, map i planów. Obecnie, ze względów konserwatorskich, są one udostępniane w Gabinetie Starych Druków BUW.

Tablica upamiętniająca księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego

Książę Adam Kazimierz Czartoryski (1743-1823), z racji pochodzenia i nazwiska, przeznaczony był do odegrania znaczącej roli w dziejach politycznych Rzeczypospolitej. Skupił się jednak na innej dziedzinie życia społecznego – edukacji. W polskiej historii zapisał się przede wszystkim jako twórca Szkoły Rycerskiej, zwanej również Korpusem Kadetów. Wśród wychowanków Korpusu było wiele osób, które odegrały znaczącą rolę w dziejach Polski, m.in. Tadeusz Kościuszko, Michał Sokolnicki, Jakub Jasiński, Jan Ursyn Niemcewicz oraz Józef Sowiński. Siedzibą Szkoły Rycerskiej, aż do jej likwidacji w 1794 r., był Pałac Kazimierzowski.

Okazją do przypomnienia wielkich zasług księcia Czartoryskiego dla Polski i edukacji, była uroczystość odsłonięcia tablicy ku jego pamięci, która wmurowana została w fasadę

Pałacu Kazimierzowskiego. Uroczystość odbyła się 15 października. Zgromadzili się na niej przedstawiciele wszystkich zaangażowanych w upamiętnienie księcia instytucji – Uniwersytetu Warszawskiego, Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Warszawskiego, Związku Rodzinnych Czartoryskich oraz Fundacji Książąt Czartoryskich. Odsłonięcia tablicy dokonali prof. Włodzimierz Lengauer, prorektor UW ds. badań naukowych i współpracy z zagranicą, Stanisław Czartoryski, inicjator powstania tablicy oraz Adam Karol Czartoryski, głowa szlacheckiej rodziny.

Tablica jest dziełem znanego rzeźbiarza Marka Moderau. Przedstawienie sylwetki księcia nawiązuje formą do wydanego w 1824 r., w pierwszą rocznicę śmierci księcia, medalu pamiątkowego. W tym samym też roku wychowankowie księcia ufundowali ku jego czci pomnik, który stanął w holu Pałacu Kazimierzowskiego. Nie przetrwał on jednak do naszych czasów. Po upadku powstania listopadowego popiersie zostało wywiezione do Petersburga i zniszczone.

90 lat później

12 listopada na terenie kampusu głównego UW odbyły się uroczystości upamiętniające 90. rocznicę odzyskania niepodległości przez Rzeczpospolitą Polską oraz 90-lecie powstania 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej. Wzięli w nich udział przedstawiciele Kapituły Orderu wojennego Virtuti Militari, środowisk kombatanckich, w tym weterani 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej i zgrupowania KRYBAR, oraz rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego i innych warszawskich uczelni: Politechniki, Uniwersytetu Medycznego, Szkoły Głównej Handlowej, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Jak co roku spotkanie było okazją do chwili refleksji nad naszą historią oraz zaangażowaniem starszych pokoleń studentów UW w działalność niepodległościową. – To tutaj, na terenie kampusu uniwersyteckiego 6 listopada 1918 r. odbył się wielki wiec studencki, ogromny zryw młodzieży ze wszystkich uczelni warszawskich. Młodzież studencka włączyła się wtedy bardzo odważnie do walki o niepodległość. Jej zaangażowanie nie pozostało niezauważone – już w pierwszych dniach grudnia, rozkazem marszałka Józefa Piłsudskiego powstała regularna formacja wojskowa stacjonująca przy Krakowskim Przedmieściu: Legia Akademicka – wspominał prof. Włodzimierz Lengauer, prorektor UW. Pułkownik Karol Perłowski, Prezes Rady Naczelnej Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej drżącym głosem mówił o niezwykłym bohaterstwie studentów warszawskich, najwyższych wartościach, męstwie i odwadze. – Jeśli dobrze się wsłuchamy usłyszymy odgłos marszu młodych ludzi, którzy stąd wyruszyli w bój – powiedział. Na koniec



Plk Karol Perłowski podczas uroczystości 90-lecia powstania 36 Pułku Piechoty Legii Akademickiej, fot. M. Kluczek

uroczystości prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW wręczyła plk. Perłowskiemu medal Uniwersytetu Warszawskiego „w uznaniu wielkiego wkładu w podtrzymanie pamięci historycznej oraz za zasługi dla kultywowania i propagowania postaw patriotycznych w społeczności akademickiej Warszawy, z podziękowaniami za wieloletnią współpracę z Uniwersytetem Warszawskim”. – Dziękujemy, ale i prosimy o więcej – dodała pani rektor.

Historia a film

Zagadnienia związane z polskim kinem historycznym były tematem spotkania, zorganizowanego przez Instytut Historyczny 17 listopada w auli dawnej Biblioteki Uniwersyteckiej. W dyskusji brali udział: Maciej Łubieński, współautor cyklu programów historycznych „Było, nie było”, Przemysław Nowakowski, scenarzysta filmowy, Michał Wójcik, redaktor naczelny miesięcznika „Focus” i „Focus Historia” oraz historycy z UW – prof. Tadeusz Cegielski, dr Błażej Brzostek oraz dr Maciej Wojtyński.

Różnorodność zagadnień związanych z relacjami pomiędzy sztuką filmową a historią starał się uchwycić prof. Tadeusz Cegielski, otwierając dyskusję. – Czym innym jest film historyczny jako gatunek, czym innym relacja między przeszłością a jej przedstawieniem audiowizualnym, a jeszcze czym innym film jako źródło historyczne i refleksja, w jakim stopniu historyk może traktować filmy jako źródło poznania przeszłości – tłumaczył profesor.

Tematem, który wzbudził wiele kontrowersji wśród uczestników dyskusji, była możliwość nakręcenia w Polsce filmu o wydarzeniach w Jedwabnem. – Byłaby to bardzo źle rokująca inwestycja – mówił dr Błażej Brzostek. – Filmu o Jedwabnem nie da się dobrze w Polsce „sprzedać”, ponieważ zostałby on przez część naszego społeczeństwa odrzucony jako kłamliwy i antypolski. Przypuszczam, że pew-

nego dnia jeden z reżyserów amerykańskich zrobi film o Jedwabnem, który może nawet zdobędzie Oscara a nam (jako społeczeństwu) nie będzie się podobał. Pytanie, dlaczego nie powstał film o Jedwabnem można przełożyć na pytanie, dlaczego to socjolog amerykański, żyjący wiele tysięcy kilometrów stąd, a nie żaden z polskich badaczy, napisał książkę o tych wydarzeniach – tłumaczył historyk.

Targi Academia

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie gościła w dniach 5-7 listopada blisko pięćdziesięciu wydawców z całej Polski, którzy prezentowali swoją ofertę książek naukowych oraz podręczników akademickich. Publikacje, z którymi można było zapoznać się podczas II edycji Targów Książki Akademickiej i Naukowej Academia, obejmowały niezwykle szeroki zakres tematyczny, zarówno z nauk humanistycznych, przyrodniczych, jak i ścisłych. Prezentacji książek towarzyszyły spotkania promocyjne i autorskie. Odbyła się m.in. dyskusja o przyszłości judaistyki w Polsce, poprowadzona przez dr Jolantę Zyndul z Instytutu Historii Sztuki UW oraz wykład prof. Ryszarda Kasperowicza, dyrektora Instytutu Historii Sztuki KUL, połączony z promocją książki Jacoba Burckhardta – „Wykłady o sztuce. Wybór”.

Łatwiejszy dostęp do e-zbiorów BUW

Zbiory elektroniczne Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, czyli kolekcja pełnotekstowych czasopism, książek i baz bibliograficznych, to ważny element warsztatu naukowców i studentów. Użytkownicy coraz częściej sięgają do e-zbiorów spoza terenu uczelni, np. z komputerów domowych. Dotychczas jedyną metodą skorzystania z nich z zewnątrz było zalogowanie się za pomocą numeru karty bibliotecznej i specjalnego hasła. Wymagało to

wizyty w wydziałowej bibliotece lub w BUW i założenia odpowiedniego konta w systemie bibliotecznym. Obecnie, logując się do e-zbiorów, użytkownicy mogą korzystać z tego samego loginu i hasła co w USOSWeb, APD, UL czy Poczta UW.

Wprowadzone dzięki współpracy BUW i DS ICM logowanie do HAN poprzez centralne systemy uczelni (LDAP i CUS) stanowi znaczne ułatwienie korzystania z e-zbiorów dla pracowników i studentów. Ma także szansę zwiększyć wykorzystanie elektronicznych zasobów BUW.

Więcej informacji znaleźć można na stronie: www.buw.uw.edu.pl, w zakładce e-zbiory.

Międzynarodowy program staży parlamentarnych

Na początku października ruszyła kolejna edycja Międzynarodowego programu staży parlamentarnych, realizowanego wspólnie przez Kancelarię Sejmu i Uniwersytet Warszawski. Uczestnicy programu otrzymują na naszej uczelni status „stażysty-gościa”, który daje im prawo udziału w zajęciach dydaktycznych. Mają też możliwość pracy w komisjach sejmowych oraz w okręgu wyborczym posła-opiekuna.

Program staży został przeniesiony na grunt polski w oparciu o wzory niemieckie – Internationales Parlaments-Stipendium. Na początku obejmował on tylko obywateli Niemiec. Pierwszego października staże rozpoczęli obywatele Gruzji, Korei Południowej, Mongolii oraz Słowacji. Wkrótce będzie on także skierowany do młodych Litwinów i Ukraińców.

Koördynatorem projektu jest Biuro Zawodowej Promocji Absolwentów UW.

Senat vs senaty

4 października na murawie stadionu Górnik Zabrze rozegrano niezwykle mecz piłkarski. Naprzeciwko siebie stanęły drużyny przedstawicieli senatów polskich uczelni wyższych oraz Senatu RP. Spotkanie miało charakter charytatywny; naukowcy i politycy chcieli wesprzeć fundację Ewy Błaszczak *Akogo?*, działającą na rzecz dzieci wymagających rehabilitacji po ciężkich urazach neurologicznych. Fundusze zebrane dzięki spotkaniu zostaną przekazane na budowę kliniki „Budzik” przy Centrum Zdrowia Dziecka w Międzyzlesiu.

Menadżerem drużyny akademickiej była prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, natomiast jedenastki senatorów Krystyna Bochenek, wicemarszałek izby wyższej polskiego parlamentu. Spotkanie zakończyło się remisem 1:1. Reprezentanci uczelni otrzymali w nagrodę honorowy budzik. Klub Górnik Zabrze zobowiązał się ufundować puchar dla drużyny senatorów RP.

Mistrzowie sportu

Uniwersytet Warszawski zajął pierwsze miejsce wśród uniwersytetów oraz trzecie

w klasyfikacji generalnej w sportowych XXV Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych. W klasyfikacji uniwersyteckiej UW wyprzedził drugi w zestawieniu, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu o ponad 50 punktów. W klasyfikacji generalnej nasza uczelnia ustąpiła miejsca na podium dwóm politechnikom: Warszawskiej i Śląskiej w Gliwicach. Warto podkreślić, że reprezentanci UW uczestniczyli w prawie wszystkich zawodach rozgrywanych podczas mistrzostw. Jedyną z 40 dyscyplin, w której nie wystartowali zawodnicy uniwersytetu, było kolarstwo górskie.

Rola gazet akademickich

Jaką rolę powinny spełniać gazety uczelniane? Promować badania naukowe, przypominać historię uczelni, być miejscem do dyskusji? Integrować środowisko akademickie czy docierać do czytelników spoza uczelni? Na te i podobne pytania próbowali odpowiedzieć redaktorzy pism szkół wyższych, którzy spotkali się 23-24 października w Warszawie na XVI Zjeździe Redaktorów Gazet Akademickich. Spotkanie zorganizowane zostało przez Szkołę Główną Handlową, we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim.

Podczas seminarium bolońskiego, które odbyło się pierwszego dnia zjazdu, redaktorzy zapoznali się z planami zmian w szkolnictwie wyższym, zagadnieniami studiów dwustopniowych, struktury kwalifikacji oraz punktacji ECTS. Drugiego dnia odbyła się dyskusja panelowa „Gazety akademickie – miejscem na debatę?”, z udziałem m.in. prof. Adama Budnikowskiego, rektora SGH, prof. Włodzimierza Lengauera, prorektora UW ds. badań naukowych i współpracy z zagranicą oraz prof. Tomasza Boreckiego, dyrektora Instytutu Problemów Współczesnej Cywilizacji, rektora SGGW w latach 2002–2008. Głównym tematem dyskusji była kwestia swobodnego decydowania o zawartości pism uczelnianych przez ich redakcje. Wyraźne stanowisko w tej sprawie zajął prof. Lengauer: – Pierwszym i absolutnie podstawowym warunkiem funkcjonowania gazety uczelnianej – i jakiegokolwiek gazet na uniwersytecie – jest niezależność redakcji i nieingerowanie władz rektorskich w treść pisma, w jego charakter, w prace redakcji – podkreślił w swym wystąpieniu rektor.

Ekologiczny uniwersytet

Studenci Uniwersytetu Warszawskiego są bardzo pozytywnie nastawieni do wszelkich akcji proekologicznych – tak wynika z badań przeprowadzonych w czerwcu tego roku przez Warszawski Oddział Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu oraz Fundację Dziedzictwo Przyrodnicze. Organizacje te rozpoczęły niedawno na UW promocję systemu segregacji śmieci. Działa on już na Wydziale Psychologii, Wydziale Historycznym, Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki, Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych oraz Wydziale Filozofii i Socjologii. Specjalne pojemniki na odpady pojawiły się też w ogólnouniwersyteckich budynkach na kampusie przy Krakowskim Przedmieściu, w Auditorium Maximum, Szkole Języków Obcych oraz dawnym Centrum Informatycznym.

Wszystkich zainteresowanych akcją i pragnących wprowadzić system na swoim wydziale zapraszamy na stronę internetową Uniwersyteckiego Centrum Badań nad Środowiskiem Przyrodniczym www.ekoedu.uw.edu.pl.

Opracowanie: Redakcja.

Współpraca: P. Baszkiewicz i D. Tkaczyk (ICM),
D. Jankowski (UOTT), M. Piasecka (BZPA),
A. Regmunt (BUW),

**Senat UW na posiedzeniu 22 października 2008 r.
pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania na stanowisko:**

profesora zwyczajnego na UW na czas nieokreślony

prof. dr hab. **Barbary Badełek** (Wydział Fizyki)

prof. dr hab. **Jacka Jagielskiego** (Wydział Prawa i Administracji)

prof. dr hab. **Michała Kozakiewicza** (Wydział Biologii)

prof. dr hab. **Marka Mejora** (Wydział Orientalistyczny)

prof. dr hab. **Czesława Radzewicza** (Wydział Fizyki)

prof. dr hab. **Elżbiety Sękowskiej** (Wydział Polonistyki)

prof. dr hab. **Ryszarda Stolarskiego** (Wydział Fizyki)

prof. dr hab. **Bogusława Wilkomirskiego** (Wydział Biologii)

profesora nadzwyczajnego na UW na pięć lat

dr hab. **Marii Ciemerych-Litwinienko** (Wydział Biologii)

dr hab. **Agnieszki Kałamajskiej** (Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki)

dr hab. **Pawła Łukowa** (Wydział Filozofii i Socjologii)

dr hab. **Małgorzaty Melchior**
(Wydział Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji)

dr hab. **Katarzyny Pietruskiej-Pałuby**
(Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki)

dr hab. **Małgorzaty Semczuk-Jurskiej**
(Wydział Lingwistyki Stosowanej i Filologii Wschodniostowiańskich)

dr hab. **Krzysztofa Stencła** (Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki)

dr hab. **Anny Szuster-Kowalewicz** (Wydział Psychologii)

dr hab. **Magdaleny Środy** (Wydział Filozofii i Socjologii)

dr hab. **Krzysztofa Wójtowicza** (Wydział Filozofii i Socjologii)

Kwestionariusz prorektora

1 września rozpoczął pracę zespół rektorski, który kierować będzie uczelnią do 2012 roku. Prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow drugą kadencję pełni funkcję rektora uczelni, jednak na liście prorektorów pojawiły się same nowe nazwiska. Prorektorem ds. studenckich jest prof. Marta Kicińska-Habior, która jako naukowiec specjalizuje się w eksperymentalnej fizyce jądrowej. Pieczę nad badaniami naukowymi i współpracą z zagranicą sprawuje prof. Włodzimierz Lengauer, znawca historii oraz kultury starożytnej Grecji. Funkcję prorektora ds. nauczania i polityki kadrowej pełni prof. Tadeusz Tomaszewski, prawnik specjalizujący się w kryminalistyce, procedurze karnej oraz prawie dowodowym. Nowym prorektorem ds. rozwoju i polityki finansowej został dr hab. Marcin Pałys, którego przedmiotem badań jest chemia nieorganiczna i fizyczna. Redakcja „Uniwersytetu Warszawskiego” poprosiła nowych prorektorów o wypełnienie krótkiej ankiety.

W dziedzinie naukowej, którą się zajmuję, najbardziej fascynuje mnie...

Marta Kicińska-Habior: eksperyment – uzyskiwanie informacji z badań doświadczalnych i ich interpretacja na drodze analizy teoretycznej.

Włodzimierz Lengauer: niepowtarzalna oryginalność Greków.

Tadeusz Tomaszewski: ogromne osiągnięcia w dziedzinie kryminalistyki, które wspomagają wymiar sprawiedliwości, a w szczególności szybki postęp, jaki się w tym zakresie dokonuje w ostatnich latach.

Marcin Pałys: odkrywanie, jak jest zbudowany i jak działa świat.

Odkąd zostałam/zostałem prorektorem patrzę na uniwersytet...

M. K-H.: jako na jedną całość, ale składającą się z wielu bardzo istotnych elementów, których tożsamość należy zachować.

W. L.: z zupełnie innego punktu siedzenia i widzenia.

T. T.: tak samo jak poprzednio. Zawsze traktowałem i traktuję uniwersytet jako swoje najważniejsze (poza rodziną) miejsce na Ziemi. Być może teraz moja perspektywa będzie nieco inna, szersza, ale jako dziekan także zawsze starałem się nie tylko rozwijać Wydział Prawa i Administracji, ale też wspomagać cały uniwersytet. Zresztą nigdy nie dostrzegałem w tym żadnej sprzeczności.

M. P.: rano, w południe i wieczorem.

Za moje najważniejsze zadanie jako prorektora uważam...

M. K-H.: czuwanie nad właściwym funkcjonowaniem uniwersytetu, jako całości i w poszczególnych jednostkach, w zakresie dotyczącym studentów i doktorantów oraz stymulowanie rozwoju dydaktyki i prac nad poprawą warunków życia i studiowania studentów i doktorantów.

W. L.: wzmocnienie międzynarodowej pozycji Uniwersytetu Warszawskiego.

T. T.: wypracowanie takiej polityki zatrudnienia, aby głównym w niej kryterium były kompetencje kandydata do pracy oraz wspieranie młodych, rozwijających się naukowo pracowników.

M. P.: szukanie równowagi pomiędzy tradycją a dostosowaniem się do zmieniającego się świata, przy zachowaniu całej różnorodności uniwersytetu.

Gdybym była/był studentem, od osoby na moim stanowisku oczekiwałabym/oczekiwałbym...

M. K-H.: podejmowania właściwych decyzji.

W. L.: umiejętności zachowania w każdej sytuacji.

T. T.: racjonalności i rzetelności w działaniu oraz spełniania (uzasadnionych) obietnic.

M. P.: otwartości i chęci wspólnego działania na rzecz lepszego kształcenia, w lepszych warunkach, dla lepszej przyszłości.

Rolą gazety uczelnianej jest ...

M. K-H.: rozpowszechnianie ciekawych informacji o uczelni, jej pracownikach, osiągnięciach naukowych, nowych programach studiów oraz o możliwościach jakie stwarza bycie studentem, o problemach studentów i sposobach ich rozwiązywania.

W. L.: pisać o wszystkim, co ważne dla uniwersytetu.

T. T.: informowanie o życiu naukowym, studenckim i kulturalnym uniwersytetu oraz wspieranie rozsądnych inicjatyw studentów i młodych naukowców. Cenne byłoby także pokazywanie „liderów” – studentów i pracowników – jako wzoru do naśladowania.

M. P.: pokazywać różnorodność uniwersytetu, informować o planach, prezentować ciekawe poglądy.

Chciałabym/Chciałbym, aby za 10 lat nasz uniwersytet...

M. K-H.: był nadal najlepszą uczelnią w Polsce, by był uczelnią przyjazną studentom i spełniającą ich oczekiwania pod względem prowadzonych programów studiów, by dyplom Uniwersytetu Warszawskiego był bardzo wysoko oceniany przez pracodawców.

W. L.: był bezkonkurencyjny w tej części Europy.

T. T.: był w pierwszej setce uczelni w rankingu szanghajskim.

M. P.: należał do czołówki uniwersytetów europejskich.

Zostali z nami

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA

Matematyk, archeolog, historyk, dwóch chemików oraz prawnik. Sześciu naukowców, sześć różnych historii. Najmłodszy ma lat 28, najstarszy 35 – reprezentują jedno pokolenie. Wiele ich dzieli, ale równie wiele łączy. Przede wszystkim ta sama decyzja podjęta przed kilkoma laty – zostają!

Tygodnik „Polityka” po raz ósmy przyznał stypendia w ramach akcji „Zostańcie z nami!”. W tym roku otrzymało je 21 osób, w tym aż sześciu młodych naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego. Stypendium, które otrzymują najwybitniejsi przedstawiciele pokolenia młodych badaczy, jest w świecie nauki niezwykle prestiżowym wyróżnieniem. Traktowane przez wielu jako wyraz uznania dla dotychczasowych osiągnięć, jest także potwierdzeniem, że w Polsce także można poświęcić się badaniom naukowym, być docenianym i czerpać satysfakcję ze swojej pracy. Osiem lat temu program „Zostańcie z nami!” był pomyślany jako sposób na zatrzymanie najwybitniejszych w Polsce. Czy nadal ma taką funkcję? Chyba nie do końca – nie spełnia tej roli, ponieważ nie musi. Wiele młodych naukowców bardzo chętnie wybiera pol-

skie instytucje naukowe na miejsce rozwoju kariery. Tak jest w przypadku tegorocznych laureatów z UW. Dla nich stypendium jest po prostu potwierdzeniem słuszności dawno już podjętej decyzji.

Nie tracąc kontaktu z rzeczywistością

Dr Witold Bednorz z Instytutu Matematyki dwa ostatnie lata spędził na stypendiach w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Nie rozważał jednak nigdy pozostania na stałe zagranicą. – Zespół Zakładu Teorii Prawdopodobieństwa stworzony przez prof. Stanisława Kwapienia na Uniwersytecie Warszawskim jest wspaniałym miejscem do pracy. Oferuje komfort zarówno pracy badawczej jak i dydaktycznej – przekonuje młody matematyk.

Spośród wielu interesujących go początkowo dziedzin matematyki wybrał teorię prawdopodobieństwa. – Niewątpliwą zaletą probabilistycznego sposobu myślenia jest to, że pozwala odnieść skomplikowane rozważania teoretyczne do całkiem realnych zagadnień. Pracując w tej dziedzinie nie traci się kontaktu z rzeczywistością, a dla wielu problemów badawczych można podać sensowną motywację – przekonuje dr Bednorz. – Jest sprawą niezwykle krępującą naukowego ducha, kiedy widzi się interesujące pytania w ekonomii, biologii i fizyce, na które można podać odpowiedź w języku teorii prawdopodobieństwa. Właśnie bogactwo zastosowań praktycznych, nietypowe metody badawcze i konieczność ciągłego poszerzania horyzontów spowodowało, że wybrałem teorię prawdopodobieństwa – dodaje.



Laureaci programu „Zostańcie z nami” 2008, fot. T. Poźniak/POLITYKA

Czuję się pionierem

Pracy poza Polską nie wyobraża sobie urodzony na Białorusi dr Jerzy Grzybowski z Katedry Studiów Interkulturowych Europy Środkowo-Wschodniej. Fascynują go najnowsze dzieje wojskowości oraz historia stosunków polsko-białoruskich. Rozprawę doktorską poświęcił udziałowi Białorusinów w Wojsku Polskim w latach 1918-1945. – Jako Polak urodzony zagranicą uważam, iż z mojego dorobku naukowego przede wszystkim musi korzystać nauka polska – tłumaczy. – Z pewnością nie mógłbym się odnaleźć w żadnym innym środowisku niż polskie. Nigdy nie rozważałem możliwości podjęcia stałej pracy poza krajem – dodaje.

– Nagrodę odbieram przede wszystkim jako dowód uznania dla mojego dorobku naukowego. Cieszę się, że został on zauważony i doceniony. Stypendium przyczyni się do napisania rozprawy habilitacyjnej, na której skupia się obecnie cały mój wysiłek naukowy – wyznaje historyk. Tematów do badań za pewnością dr. Grzybowskiemu nie zabraknie. – Wiele zagadnień z zakresu historii wojennej XX wieku nie zostało jeszcze dostatecznie zbadanych lub nie są zbadane wcale. Czuję się więc pionierem – przekonuje naukowiec.

Chemia artystyczna

Dr. Maciej Mazur z Wydziału Chemii, badającego nanostruktury metaliczne i polimerowe, można by określić jako umysł ścisły z duszą humanisty. Na pytanie, czy planował kiedyś wyjazd na stałe zagranicę, odpowiada stanowczo: – Nie planowałem i nie planuję emigracji. Dlaczego? miałbym to robić? – pyta retorycznie. – Być może patriotyzm w obecnych czasach jest passé, ja jednak uważam, iż jest on niewątpliwą wartością. Motywuje ludzi bliskich sobie geograficznie i kulturowo do wspólnego działania. Oczywiście, jeśli ktoś wymarzył sobie życie w innym kraju, to trudno mu tego zabraniać. Ale mnie jest dobrze tu, gdzie jestem i nie widzę powodów, by to zmieniać – dodaje.

Równie filozoficzne w swej naturze pobudki kierowały nim przy wyborze dziedziny naukowej. – Mówiąc górnolotnie, chemicy nie tyle odkrywają prawa przyrody, ile nawet stają w roli Stwórcy, kreując rzeczywistość na poziomie molekularnym. W tym sensie chemia podobna jest do sztuki, szczególnie do jej nurtu konceptualnego – wyjaśnia dr Mazur. – Współczesny chemik najpierw formułuje pomysł badawczy, a następnie realizuje go na drodze eksperymentalnej. Właśnie tym chemia różni się od innych nauk przyrodniczych i to decyduje o jej atrakcyjności – dodaje.

Perspektywy rozwoju swojej dziedziny naukowej dr Mazur ocenia bardzo pozytywnie, odnosząc się do możliwości pozyskiwania funduszy z Unii Europejskiej. – Pojawienie się w ostatnich latach tych środków jest bezprecedensowe w polskiej historii. Musi to wywołać, i już wywołuje, gwałtowny rozwój

badan, które jeszcze kilka lat temu były nie do pomyślenia – przekonuje. – Takich pieniędzy na badania i takich możliwości jeszcze w Polsce nie było! Jeśli ten trend będzie kontynuowany, a pieniądze mądrze wydawane, myślę że polska nauka, a w każdym razie takie dziedziny jak fizyka, czy chemia, mają szansę w szybkim tempie, czyli gdzieś w ciągu jednego, dwóch pokoleń, dołączyć do ścisłej światowej czołówki – podkreśla.

Miejsce, z którego nie chcę wyjeżdżać

Do rozważań na temat stałej emigracji przynajmniej natomiast dr Jacek Jemielity z Instytutu Fizyki Doświadczalnej. Myślał o wyjeździe do Stanów; były już wstępne plany i rozmowy. – Zdawałem sobie też wtedy sprawę, że to może być wyjazd na stałe. Jednak wszystko się zmieniło, kiedy trafiłem do grupy badawczej kierowanej przez prof. Edwarda Darżynkiewicza w Zakładzie Biofizyki – wspomina naukowiec. – Początkowo miał być to etap przejściowy między doktoratem a stażem zagranicznym. Jednak po kilku miesiącach zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w miejscu, z którego nie chcę wyjeżdżać – tłumaczy.

Interdyscyplinarne badania z pogranicza chemii, biofizyki i biologii, w których dr Jemielity bierze udział, dotyczą syntezy nukleotydów będących analogami związków występujących naturalnie w komórkach. Najczęściej są to analogi końca 5' informacyjnego RNA tzw. kapu. – Wprowadzając do ich struktury modyfikacje chemiczne, nadajemy im nowe właściwości biologiczne. Czasem udaje się nam nieco poprawiać naturę. Syntetyzowane związki są badane pod różnym kątem i znajdują zastosowanie w badaniach naukowych nad wieloma procesami komórkowymi. Są również użyteczne w biotechnologii, a mamy też nadzieję, że w niebawem odległej przyszłości także w medycynie – opowiada chemik. – Bardzo ważne jest dla mnie to, że syntetyzując nowe związki, często udaje nam się opracować nowe metody syntezy o charakterze ogólnym, a z drugiej strony otrzymane związki nigdy nie są odtawiane na półkę, ale zaczynają żyć własnym życiem. Najciekawsze z nich stają się komercyjnie dostępne – dodaje.

Dr Jemielity potrafi połączyć badania naukowe z dydaktyką. – Dla mnie osobście najbardziej fascynująca jest praca z młodymi ludźmi. Najczęściej są to studenci Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Matematyczno-Przyrodniczych, którzy często od I roku studiów przychodzą do mojego laboratorium uczyć się trudnej pracy naukowej – opowiada chemik. – Mają w sobie olbrzymią chęć zdobywania wiedzy i zapał do pracy. Często są laureatami olimpiad, a w czasie studiów stypendystami MNiSW, ale przede wszystkim są świetnymi ludźmi. Bardzo szybko przyswajają wiedzę. Początkowo staram się ich uczyć, z czasem uczymy się od siebie nawzajem. Po studiach często wyjeżdżają do świetnych ośrodków nauko-

wych, ale niektórzy zostają z nami i tym wdzięczny jestem najbardziej – podkreśla.

Każdy kiedyś zostaje spadkodawcą

Dla dr. Konrada Osajdy z Wydziału Prawa i Administracji stypendium „Polityki” jest dowodem zmian w społecznym postrzeganiu badań naukowych. – Zdobywając wykształcenie miałem możliwość obserwacji funkcjonowania uczelni i warunków pracy naukowców zagranicą – wspomina prawnik. – Oczywiście Polsce wiele do tego brakuje i widać ogromne niedoinwestowanie i niedocenywanie nauki. Tym niemniej stypendium Polityki dla młodych naukowców jest dowodem, że podejście to się zmienia. Mam nadzieję nie tylko tę zmianę obserwować, ale przez swoją pracę się do niej przyczyniać – dodaje.

Dr Osajda zajmuje się prawem spadkowym. – Z praktycznego punktu widzenia, to jeden z najważniejszych działów prawa! Jakkolwiek smutne to stwierdzenie, każdy zostaje kiedyś spadkobiercą i spadkodawcą, a zatem zrozumienie tej problematyki i dostosowanie jej regulacji do potrzeb współczesnego społeczeństwa ma, w mojej ocenie, niezmierną wagę społeczną – tłumaczy swoją fascynację tą dziedziną. Drugi obszar jego zainteresowań to prawo spółek handlowych. – Jasne jest, że postulowany rozwój gospodarczy nie będzie odpowiednio szybki bez odpowiadającego mu instrumentarium prawnego. Jeśli polskie prawo nie zapewni przedsiębiorcom odpowiednich form – rodzajów spółek – dla prowadzenia działalności gospodarczej, to przeniosą się oni do innego kraju – przekonuje prawnik.

Czas na popularyzację

Dr Miłosz Giersz także „został”, jednak w praktyce od kilku lat dzieli swój czas pomiędzy Polskę i Amerykę Południową. Jako pracownik Instytutu Archeologii i Ośrodka Badań Prekolumbijskich od 2002 roku kieruje projektem wykopaliskowym Valle de Culebras na terenie dzisiejszego Peru. Udało mu się odkryć ponad 100, nieznanych wcześniej stanowisk archeologicznych (więcej o badaniach dr. Giersza cyt. J. Jasiewicz-Hall, „Wysokich Andach i na pustynnym wybrzeżu Oceanu”, „Uniwersytet Warszawski” nr 4/2008 r.).

Dzięki dodatkowym funduszom dr Giersz będzie mógł zrealizować kilka przedsięwzięć. – Stypendium pozwoli mi skupić się na pracy naukowej i popularyzacji nauki. Chcę dokończyć spokojnie kilka projektów wydawniczych – opowiada archeolog. Chodzi o dwie książki popularnonaukowe – autorską pracę „Cywilizacja Moche” oraz, pomyślaną jako kompletny podręcznik archeologii obszaru andyjskiego, „Archeologię Andów”, opracowaną wraz z prof. Mariuszem S. Ziółkowskim oraz prof. Krzysztofem Makowskim. Drukiem ukaże się również hiszpańskojęzyczna rozprawa doktorska dr. Giersza „Południowa granica państwa Moche i problem administracji Wari na Północno-Środkowym wybrzeżu Peru”.

Cambridge i MIT czekają na doktorantów z UW

ANNA KORZEKWA

Możliwość pracy w najlepszych laboratoriach zagranicznych i wyjątkowo wysokie stypendia czekają na uczestników studiów doktoranckich na Wydziale Chemii. Program o nazwie „*From simple molecules to nanostructured and bioactive materials*” (Od prostych molekuł do nanostruktur i materiałów bioaktywnych) został laureatem konkursu, którego celem było wsparcie międzynarodowych studiów doktoranckich. Konkurs zorganizowała Fundacja na rzecz Nauki Polskiej.

– Wniosek o dofinansowanie studiów zyskał uznanie fundacji dzięki bogatej ofercie tematycznej studiów i szerokiemu spektrum uczelni partnerskich – mówi Paulina Matuszewska z Wydziału Chemii.

Studia trwają cztery lata. – Ich program obejmuje zagadnienia związane z nowymi materiałami, ich właściwościami i oddziaływaniami, a także nowymi lekami oraz oddziaływaniami w układach biologicznych – wyjaśnia prof. Renata Bilewicz, koordynatorka studiów. – To tematyka na miarę nowego wieku – dodaje.

W swoich pracach doktorskich młodzi naukowcy będą badać oddziaływanie międzyatomowe i międzycząsteczkowe, zasady samorganizacji oraz rozpoznawania molekularnego. Zajmą się podstawami projektowania, a następnie syntezą nowych materiałów dla elektroniki i fotoniki. Niektóre z otrzymanych układów będą badane pod kątem zastosowań jako katalizatory, układy do magazynowania ładunków, przechowywania i przetwarzania informacji, oraz do konstrukcji ekologicznych źródeł energii. Program studiów przewiduje również syntezę oraz optymalizację molekuł o aktywności biologicznej oraz poszukiwanie nowych związków o znaczeniu terapeutycznym. Grupa doktorantów będzie zaangażowana w modelowanie molekularne receptorów leków, a więc także dużych układów biomolekularnych, składających się z szeregu protein, kwasów nukleinowych, fosfolipidów i innych molekuł. Badania powinny przyczynić się do zrozumienia metabolizmu, ścieżek sygnałowych i transportowych w żywych komórkach.

Na kandydatów na studia czekają dwadzieścia trzy miejsca. Zgłoszenia w ramach pierwszego naboru będą przyjmowane do 1 stycznia 2009 r. Kandydaci muszą legitymować się wykształceniem z zakresu nauk ścisłych. Na początek będą musieli przedstawić wyniki Graduate Record Examinations (GRE), testu organizowanego przez Uniwersytet w Princeton lub zdać test przygotowany przez uniwersyteckich chemików. – Ci z kandydatów, któ-

rzy jednak nie zdążą zdać testu GRE w swoim kraju mogą mieć trudności z opłaceniem przylotu na test organizowany w Warszawie, gdyż program nie przewiduje środków na taki cel – mówi Paulina Matuszewska.

W pierwszych tygodniach rekrutacji napłynęło ponad 240 zgłoszeń. – Zgłaszają się nie tylko chemicy, ale również biolodzy, fizycy, farmaceuci – wylicza prof. Bilewicz. Na razie najwięcej jest kandydatów z Indii, Pakistanu, Arabii Saudyjskiej. – Kandydaci z Polski i krajów ościennych wybrali zdawanie testu w Warszawie i ze złożeniem pełnego formularza zgłoszenia poczekają zapewne do wyników tego testu – dodaje Paulina Matuszewska. Ostatnim etapem rekrutacji będzie rozmowa kwalifikacyjna, do której zostaną dopuszczeni najlepsi kandydaci. Wydział Chemii zakłada również możliwość przeprowadzenia kolejnej rekrutacji wiosną przyszłego roku, jeśli wśród zgłoszonych kandydatów nie znajdzie się odpowiednia liczba osób spełniających wysokie kryteria naboru.

Organizatorzy międzynarodowych studiów doktoranckich planują zapraszać na wykłady uczonych z ośrodków naukowych współpracujących w ramach projektu. Ponadto każdy uczestnik studiów musi w trakcie ich trwania spędzić co najmniej sześć miesięcy w jednym z laboratoriów zagranicznych. Pobyt doktoranta poza granicami kraju trwać może maksymalnie do dwóch lat. Studenci mogą spędzić ten czas w jednym lub nawet dwóch – trzech ośrodkach. – Nasi doktoranci będą mogli wyjechać do najlepszych miejsc – mówi prof. Bilewicz. I rzeczywiście w recenzjach wniosku do FNP, w punkcie dotyczącym jakości współpracy międzynarodowej oferowanej w ramach studiów, padają określenia takie jak *excellent*, *very high*, a o instytucjach partnerskich nie pisze się inaczej jak tylko używając słowa *outstanding*. Doktoranci mogą wybierać z oferty ponad 40 instytucji współpracujących z Wydziałem Chemii. Na liście uczelni partnerskich znajdują się szkoły z siedemnastu krajów, w tym z Wielkiej Brytanii, USA, Niemiec, Francji, Hiszpanii, Kanady, Japonii. Są to m.in. Cambridge University, Michigan State University, University of California w Berkeley, czy bostoński Massachusetts Institute of Technology. Z wszystkimi uczelniami wydział w sposób mniej lub bardziej sformalizowany współpracuje od lat. Naukowcy mają na swoim koncie wspólne publikacje i spotkania konferencyjne.

Uczelnie, które przyjmą naszych doktorantów, będą musiały zapewnić jedynie dostęp

do aparatury badawczej i opiekę naukową. Na pokrycie kosztów pobytu zagranicą student otrzyma 4,5 tysiąca złotych. W kraju otrzymywał będzie stypendium w wysokości 3 tysięcy. Nie będzie również musiał się martwić kosztami ubezpieczenia. Zostaną one pokryte ze środków uzyskanych z fundacji.

Każda z uczelni partnerskich odnosi spektakularne sukcesy w trochę innej dziedzinie. I tak na przykład uczelnia z Cambridge słynie przede wszystkim dzięki badaniom prowadzonym w zakresie chemii materiałowej, a uniwersytet z siedzibą w Berkeley – z zakresu biochemii i chemii biomolekularnej. – Zwykle wysyłamy naszych doktorantów i doktorów do tych ośrodków, które mogą współuczestniczyć w kosztach współpracy lub pokryć je całkowicie. To poniekąd definiuje ścieżki współpracy. W tym programie nasi doktoranci mogą wybierać te jednostki, które z punktu widzenia ich pracy doktorskiej są najciekawsze – wyjaśnia prof. Bilewicz.

Ośrodek, który przyjmie doktoranta również wiele zyskuje. Osoba zmotywowana do pracy naukowej i z gotowym programem badawczym będzie zawsze chętnie przyjmowana w partnerskiej instytucji – dodaje prof. Paweł Krysiński, naukowiec zaangażowany w projekt.

Po powrocie do kraju doktoranci swoimi doświadczeniami i wynikami badań czym będą dzielić się w trakcie dorocznych konferencji. – Efekty wyjazdów stypendialnych są zdumiewające. Rzadko się zdarza, żeby ktoś przyjeżdżał bez bardzo ciekawych wyników badań i dobrych publikacji – mówi prof. Bilewicz.

Już po ukończeniu studiów młodzi doktorzy będą przygotowani do pracy w najlepszych i najbardziej nowoczesnych laboratoriach. Trwają właśnie prace nad stworzeniem na Ochocie Centrum Nowych Technologii (CENT). W przyszłym roku rozpocznie się budowa pierwszego z trzech budynków CENT, w którym będą prowadzone interdyscyplinarne projekty badawcze.

Program FNP adresowany jest do konsorcjów naukowych złożonych z co najmniej jednej instytucji polskiej i co najmniej jednej zagranicznej, prowadzących wspólnie projekty doktoranckie. Kwota dofinansowania studiów na Wydziale Chemii wyniosła prawie sześć milionów złotych. Pieniądze zostaną wypłacone z unijnego programu „Innowacyjna gospodarka”. Termin składania wniosków w kolejnej edycji konkursu upływa w połowie marca 2009 r.

Mówić językiem antyku

O UNIWERSYTECKICH WYKOPALISKACH W BULGARSKIM NOVAE Z PROF. PIOTREM DYCZKIEM, DYREKTOREM OŚRODKA BADAŃ NAD ANTYKIEM EUROPY POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ UW ROZMAWIA JUSTYNA JASIEWICZ-HALL

Justyna Jasiewicz-Hall: Sztandarowym projektem Ośrodka Badań nad Antykem Europy Południowo-Wschodniej są wykopaliska w bułgarskim Novae. Od jak dawna naukowcy z Ośrodka interesują się tym miejscem?

Piotr Dyczek: Od prawie 50 lat. Za dwa lata będziemy odchodzić półwiecze. W tej chwili pracami ośrodka kieruje już czwarte pokolenie naukowców.

J. J.-H.: To całkiem pokazny staż.

P. D.: No nie wiem. Ja bym nas ocenił jako młodzieniaszków, no może młodzieńców. Niektóre stanowiska archeologiczne są badane od 100 czy 150 lat i nadal stanowią zagadkę. My z naszymi pięcioma dekadami mamy nadal dużo czasu przed sobą.

J. J.-H.: Początki tych wykopalisk były jednak trochę skomplikowane. Jak to się stało, że oczy naukowców zwróciły się właśnie na Bułgarię?

P. D.: Przede wszystkim potrzebne było miejsce, gdzie studenci archeologii klasycznej naszej uczelni mogliby uczestniczyć w wykopaliskach. W tym okresie swoje świetne prace prowadził już prof. Kazimierz Michałowski, a naszych naukowców po prostu nie było stać na kolejne wykopaliska na Zachodzie. Stało się więc jasne, że trzeba szukać czegoś w bloku państw socjalistycznych. Dlatego trzeba przyznać, że wybór był częściowo podyktowany warunkami geopolitycznymi w latach sześćdziesiątych – chodziło między innymi o rozliczenia walutowe między krajami. Proszę pamiętać, że w latach 60. kurs dolara był niesamowicie wysoki, a w przypadku wykopalisk w Bułgarii mieliśmy okazję żeby rozliczać się w naszych wewnętrznych walutach. Tym sposobem polscy archeolodzy – pod kierunkiem prof. Kazimierza Majewskiego – rozpoczęli badania w Bułgarii. Początkowo brano pod uwagę kilka stanowisk, ale po analizie źródeł wybrano twierdzę legionową leżącą na granicy Cesarstwa w dawnej prowincji rzymskiej, Mezji Dolnej. Sprawa była całkowicie nowa z dwóch powodów. Po pierwsze, w zasadzie aż do czasów wojny większy nacisk w archeologii był kładziony na poszukiwaniu monumentalnych budowli, pięknych rzeźb, klejnotów. Niewiele uwagi poświęcano życiu codziennemu. Druga sprawa to fakt, że w Polsce brakowało specjalistów z zakresu archeologii wojskowości antycznej. A jeśli do tego doda się fakt, że niewielu archeologów interesowało się prowincjami rzymskimi, pojawiła się szansa zbadania całkowicie nowych zagadnień. Nie było to łatwe, bo łamało stereotypy. Zresztą jak strasznie „prowincjonalnie” brzmiało wtedy słowo – prowincja. Tym sposobem staliśmy się prekursorami tzw. archeologii limesowej, zajmującej się systemami umocnień na limesie czyli granicy Imperium. Chyba nazwa stanowiska była prorocza: nowe miejsce, nowy temat.

J. J.-H.: Chyba tak, bo w końcu wybrano stanowisko o nazwie Novae.

P. D.: Tak. I od razu trzeba powiedzieć, że jest to miejsce całkowicie wyjątkowe. W większości przypadków osady i miasta antyczne zmieniały się w czasie, można powiedzieć, że rosły jedne na drugich. W Novae późnośredniowieczne miasto wyrosło nie na antycznym poprzedniku, ale „przesunęło się” o ok. 4 km na zachód, dając początek współczesnemu miastu Svišov. Dlatego w Novae mamy szansę, by prowadzić badania na terenie antycznej twierdzy legionowej – sławnego I Legionu Italskiego – i miasta późnoantycznego. Ich pozostałości nie są naruszone czy zakłócone przez późniejszą zabudowę. Wszystkie inne miejsca, gdzie kiedyś stacjonowały legiony, przekształciły się w wielkie metropolie, np. Vindobonna w Wiedniu czy Bonna w Bonn. A nasze Novae nie. Poza tym Novae jest bardzo szczęśliwym stanowiskiem.

J. J.-H.: W jakim sensie szczęśliwym?

P. D.: W archeologii często bywa tak, że przez kilka kampanii na jednym stanowisku, nic ciekawego nie udaje się odkryć. I tak mija jeden, drugi, czasem trzeci rok. Niekiedy też natrafia się na jakiś unikat akurat ostatniego dnia badań. I co tu robić? Ale Novae jest dla nas przyjazne. Można tam natknąć się nie tylko na przedmioty, które mogą trafić do muzeum, ale też inne zabytki, które pozwalają nam na dopisanie nowych rozdziałów do antycznej historii. Proszę pamiętać, że wiele osób od dawna zastanawia się, jak tak wielki organizm państwowy jak Cesarstwo Rzymskie mógł przetrwać tak długi czas. Na to pytanie często pada krótka odpowiedź: legiony. I wydaje się, że o legionach wiemy dużo. A to nieprawda, bo wiele jed-



Figurka Attysa wykonana z brązu, część stolika trójnożnego, fot. J. Reclaw

nostek organizacyjnych, stopni wojskowych było tworzonych czasowo, później przestały istnieć, a teraz są dla nas zagadką. No i było jeszcze pytanie, na które odpowiedź, jest sednem naszych poszukiwań: jak był budowany system defensywny prowincji? Przecież plemiona, które ze wszystkich stron otaczały Cesarstwo, nie były słabe: wojny z Gotami, Hunami czy innymi plemionami, były ogromnymi przedsięwzięciami wojennymi.

J. J.-H.: I okazało się, że...

P. D.: ... że Rzymianie zbudowali świetny system umocnień wokoło całego Cesarstwa.

J. J.-H.: Taki „Wielki Mur Europejski”.

P. D.: Tak jest! I w takich przypadkach czasami pojawia się kolejne pytanie: kto na kim się wzorował, kto od kogo „ściągał”. A prawda jest taka, że nikt od nikogo. Podobne rozwiązania zdarzają się we wszystkich miejscach, gdzie występują podobne warunki i potrzeby. Budowa Wielkiego Muru Chińskiego była w gruncie rzeczy oparta na takich samych zasadach, jak budowa umocnień na granicach Cesarstwa Rzymskiego. Przecież nikt go nie budował po to, żeby się odizolować i zamknąć na otaczający świat. Chodziło o to, żeby ościenne plemiona koczownicze, dla których najpopularniejszym środkiem transportu był koń, nie wnikały w głąb Imperium. A koń przecież nie przeskoczy muru, nie ma możliwości łatwego jego przetransportowania na drugą stronę silnie broniętego umocnienia. Analogiczna sytuacja występowała w Cesarstwie Rzymskim. To rozwiązywało sprawę barbarzyńców najeżdżających Cesarstwo. Ale chodziło nie tylko o to. Umocnienia miały przede wszystkim ułatwić kontrolę przepływającej ludności, towarów i ściąganie opłat celnych.

J. J.-H.: Czy takie umocnienia były w całym Cesarstwie?

P. D.: Oczywiście, chociaż miały różny charakter. Czasem były to umocnione przeszkody naturalne – góry i rzeki, takie jak Ren czy Dunaj, czasem zaś instalacje sztuczne. W połowie II w. n. e. umocnienia ciągnęły się wzdłuż granic Cesarstwa, wokół basenu Morza Śródziemnego – od rzymskiej Brytanii poprzez pustynie Bliskiego Wschodu, Egipt, aż po współczesne Maroko. Naukowcy z naszego ośrodka w pewnym sensie są jak antyczni legioniści, pracują na dwóch odległych krańcach Imperium: w Novae i w Szkocji. Ostatnio, w ramach unijnego programu Culture 2000, udało się także na podstawie naszych badań wprowadzić do spisu światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO tzw. mur Antoniniana. Jest to umocnienie leżące w Szkocji, przebiegające między dzisiejszym Edynburgiem a Glasgow. Mur o długości ponad 50 km został zbudowany w 142 r. na polecenie Antoninusa Piusa, poprzednika słynnego Marka Aureliusza, zwanego filozofem na tronie. Mur zastąpił poprzednią granicę Cesarstwa, mur Hadriana, przesuwając granicę dominacji rzymskiej o 160 km na północ. Ledwo zakończyliśmy program Culture 2000, dostaliśmy akredytację do nowego programu Central Europe.

J. J.-H.: To świetna wiadomość.

P. D.: Tak. Bardzo mnie to cieszy, ponieważ oznacza, że jesteśmy postrzegani na świecie jako prawdziwi specjaliści w dziedzinie archeologii limesowej i rzymskiej. A trzeba pamiętać, że terytorium dzisiejszej Polski, nie było włączone do Cesarstwa, byliśmy barbarzyńcami. A więc teraz barbarzyńcy badają Cesarstwo.

J. J.-H.: Mówi Pan, że umocnienia pełniły podwójną funkcję: defensywną i kontrolną. Czy były to odpowiedniki dzisiejszych przejść granicznych?

P. D.: I tak, i nie. Funkcja faktycznie była podobna. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę wiele rozwiązań zastosowanych w antyku, to zaskakują nas one swoją nowoczesnością. Jednak takie przenoszenie przeszłości w teraźniejszość jest dla archeologa bardzo niebezpieczne i zawsze prowadzi do uproszczeń i fałszywych wniosków.

J. J.-H.: Wydaje się, że ludzie są podobni niezależnie od czasów, w których funkcjonują.

P. D.: Dla badacza to katastrofalne podejście. Łamie logikę naukowego wywodu. Proszę przyjąć się ocenom niedawnej historii Polski. Często słyszymy, że można było wiele rzeczy zrobić inaczej, lepiej, sprawniej. Owszem, teraz to wiemy, ponieważ na wszystko patrzymy z perspektywy czasu i przez pryzmat zdobytych doświadczeń. Ale wtedy – wcześniej, nie mieliśmy takiej wiedzy. Tak samo ma się sprawa z antykiem: pewne zjawiska były takie, jak we współczesnym świecie, dlatego przykładają się do nich tę samą skalę. A to błąd.

J. J.-H.: Dlaczego?

P. D.: Bo to unowocześnianie przeszłości. Żeby badać antyk, trzeba mówić jego językiem. To język sztuki, literatury, to łacina i greka, czytanie Homera w oryginale i wiele innych zagadnień. Badacz musi tym językiem władać biegle, inaczej nie zrozumie się świata antycznego. Wiele nieporozumień i mitów wynika właśnie z braku zrozumienia tego języka. Proszę sobie wyobrazić, że studenci często pytają: jak to jest, że w Rzymie oddawano cześć boską cesarzowi, kiedy wszyscy wiedzieli, że nie jest on Bogiem. Takie pytania wynikają z tego, że mamy obecnie jeden, narzucony przez kulturę, model widzenia Boga. Dlatego wydaje nam się, że wiara w to, że Zeus miał kochanki wśród kobiet, a gdzieś tam zza węgła wychodziła sobie Atena, jest bzdurne. A wcale nie jest. To był inny świat.

J. J.-H.: Często mówi się, że antyk był bardziej brutalny i niemoralny niż współczesność.

P. D.: I to kolejny błąd. Nie pamiętamy choćby, że wtedy nie funkcjonowało pojęcie grzechu, takie jak znamy teraz. Dlatego

widzimy ich podejście do życia, jako niemoralne, a prowadzone wojny – jako bardziej okrutne. Ale przecież stosowanie gazów bojowych, ostrzeliwanie z dział dalekiego zasięgu, bombardowanie z samolotów, jest znacznie okrutniejsze niż używanie katapult. Oczywiście, żadna wojna nie jest dobrem, ale Rzymian można porównać do dzikich zwierząt, które atakują, z głodu lub strachu. Oni też tak czasami robili, ale swe działania dokładnie obmyślali. Lepiej było zaatakować nieprzyjaciela, niż czekać na jego ruch, a tym samym dać mu czas na lepsze przygotowanie. Lepiej było zaatakować zdobywając nowe surowce i produkty rolne niż czekać aż wykorzystają je wrogowi. Ale sądzę, że to my jesteśmy bardziej brutalni. Często wiedząc, że robimy zło, czynimy je celowo.

J. J.-H.: Czyli żołnierze w twierdzach legionowych byli inni niż nam się wydaje? Nie byli okrutnikami, szukającymi powodu do zaczepki?

P. D.: Odpowiem pozornie zawile. W Novae badamy kilka zespołów budynków: szpital wojskowy, zabudowania cywilne, ale też cmentarze. Jednym z odkrytych obiektów jest łaźnia legionowa. Pochodzi z drugiej połowy I w., była wybudowana z – jak byśmy to dziś nazwali – publicznych pieniędzy, więc pewnie budowniczości nie mieli pola do popisu. Możemy pomyśleć: łaźnia, jak to łaźnia, trzeba się umyć – wchodzi człowiek brudny, wychodzi czysty. Ale nie. Rytuał łaźniowy był bardzo rozbudowany: masaże, kąpiele, nacieranie wonnościami, przechadzki, dyskusje. Nie oznacza to oczywiście, że żołnierze byli filozofami, specjalnie wrażliwymi na piękno przyrody. Wręcz przeciwnie. Byli maszynami do zabijania, ale łaźnia była właśnie miejscem odpoczynku, relaksu. Było jasne, że ludzie, którzy na co dzień walczą, spotykają się z brutalnością, gdzieś muszą odreagować. A piękno temu sprzyja. Dlatego wyposażenie żołnierskiej łaźni jest wspaniałe: piękne malowidła na ścianach, stiuki, specjalnie sprowadzane i układanie płytki ceramiczne, rzeźby w fantazyjnych fontannach. I, mimo że każdy wydatek z wojskowej kasy musiał być zaakceptowany przez kilku zwierzchników, nikt nie oszczędzał na sztuce.

J. J.-H.: Czyli najeźdźcy, ale tak naprawdę normalni ludzie, potrzebujący chwili wytchnienia.

P. D.: Jak najbardziej. Poza tym z tymi najeźdźcami, chyba jednak przesadzamy. Budzi we mnie pewną formę wesołości fakt, że wszystkie kraje niegdyś podbite przez Rzym i nierzadko wtedy bardzo się buntujące, teraz chwalą się zabytkami z okresu rzymskiego. To prawdziwy chichot historii.

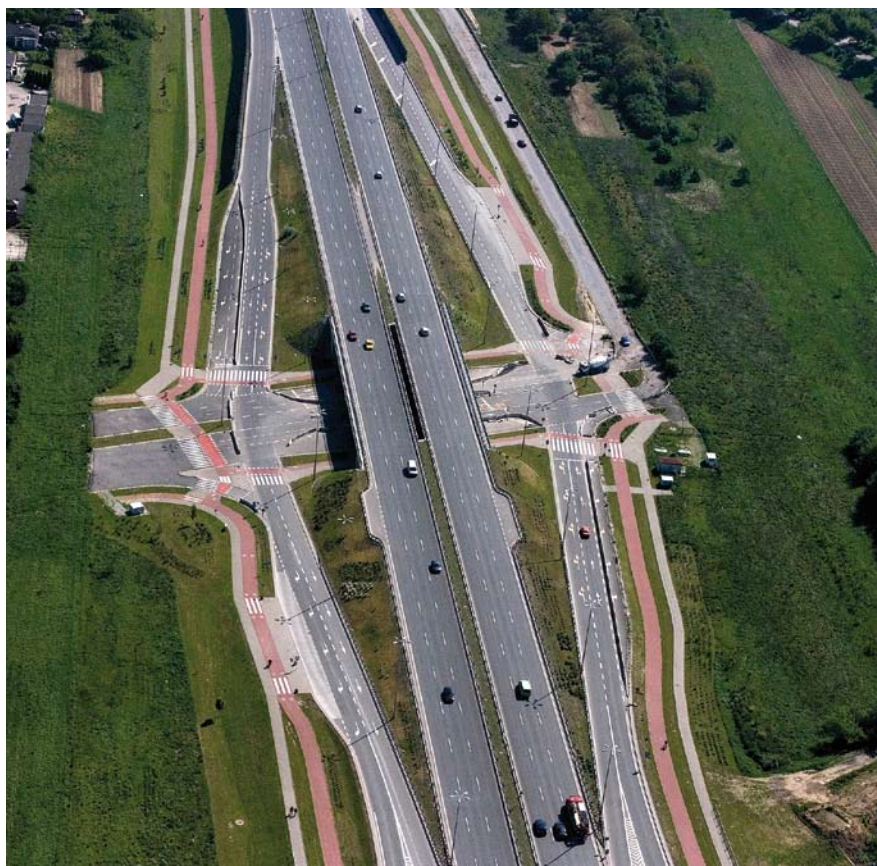


Srebrne narzędzie chirurgiczne znalezione na terenie szpitala legionowego w Novae, fot. J. Reclaw

Budzenie odpowiedzialności za miasto

ANNA KORZEKWA

Wiele osób mieszkających w Warszawie nie czuje intelektualnego czy emocjonalnego związku z miastem. Jak można zmienić tę sytuację pokazuje dr Marek Ostrowski, organizator wykładów varsavianistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Na zajęciach uczy studentów samodzielnego myślenia, spostrzegawczości, zdolności interpretacji i twórczego działania.



Absurd czy racjonalizm?, fragment Trasy Siekierkowskiej, 2007 r., fot. M. Ostrowski

Ulice Dunaj i Krzywe Koło noszą swoje imiona od XV wieku. Nazwa ulicy Świętokrzyskiej pamięta wiek XVI. Świętojańska i Świętojerska są o sto lat młodsze. Z czasem pojawiało się coraz więcej nazw tymczasowych, upolitycznionych, które zmieniały się i znikwały wraz z okresami obcego panowania i przemarszami wielkich armii. Wydawało się, że krótsze nazewnictwo nie pozwala oddać czci bohaterom, których zwykło się

czynić patronami ulic. Dziś na tradycyjne jedno-dwuwyrazowe nazwy nie ma już miejsca. Użyteczne deskrypcje zostały zastąpione przez pomnikowe napisy, trudne do zapamiętania związki wielowyrazowe. – Coraz mniej jest nazw pięknych, mądrych, czy przyjaznych – mówi dr Marek Ostrowski, pracownik Wydziału Biologii, specjalista od informacji obrazowej, twórca autorskiego „Projektu Warszawa”, którego częścią są wykłady var-

savianistyczne prowadzone na Uniwersytecie Warszawskim.

– Nazwa ulicy ma służyć informacji i budować przestrzeń przyjazną człowiekowi. Tymczasem większość z nich, spełniając zapotrzebowanie polityczne, jest zniechęcająca. Jak krótko może zaprosić do siebie gości ktoś, kto mieszka przy ulicy 21. Pułku Piechoty im. Dzieci Warszawy? Siedem wyrazów... Wpadnijcie do nas na...? – pyta retorycznie Marek Ostrowski.

W stolicy są już ulice 30. Pułku Strzelców Kaniowskich, 3. Batalionu Pancernego AK „Golski”, 7. Pułku Piechoty AK „Garluch”. Ostatnio pojawił się pomysł grupy warszawskich radnych, by nazwać rondo na Woli imieniem Ofiar Obozu KL Warschau. Po przetłumaczeniu – a byłoby to konieczne – mielibyśmy rondo Ofiar Obozu Koncentracyjnego „Warszawa”.

– Warszawa staje się wielką nekropolią. Tu większość nazw ulic ma formę epitafium – mówi dr Ostrowski. Takie nazywanie ulic odbywa się ze szkodą dla mieszkańców – dodaje. O historii miasta opisaną nazwami ulic dr Ostrowski mówi w trakcie jednego ze swoich wykładów varsavianistycznych wspólnie z Jarosławem Zielińskim, autorem 12-tomowego „Atlasu dawnej architektury ulic i placów Warszawy”. – Wskazuję, że historię społeczną Warszawy tworzą nie tylko historyczne układy urbanistyczne, osie i trakty, ale i współczesne paradoksy: ulice poprzerywane, bez początku i końca, organizacyjny bałagan – mówi dr Ostrowski.

Wykłady varsavianistyczne odbywają się w tym roku już po raz drugi. Podstawą studiów są zdjęcia lotnicze i satelitarne. – Obrazy lotnicze traktuję nie tyle jako nowoczesną technikę, ale przede wszystkim jako sposób myślenia o przestrzeni. Zdjęcie lotnicze tworzy rodzaj planszy do gry, na której odbywa się gra o nazwie Warszawa – mówi varsavianista. Naukowiec zajmuje się od lat teledetekcją lotniczą i satelitarną. Jest m.in.



Zabytkowy teren UW przy Krakowskim Przedmieściu, fot. M. Ostrowski

członkiem Komitetu Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN. Sam wykonuje fotografie lotnicze od ponad trzydziestu lat. W jego prywatnym archiwum sama tylko Warszawa jest utrwalona na kilkudziesięciu tysiącach zdjęć. – Fotografie dają nowy punkt odniesienia, inne spojrzenie na miasto. Nie samo zdjęcie jest jednak istotne, ale – tak jak w pracy naukowej – zdolność do jego interpretacji. – Wyświetlam na przykład fotografię Ogrodu Botanicznego w Powsinie, podkreślając, że jest to zdjęcie banku. Każdy długo szuka... Myśląc stereotypowo szuka budynku, a zapomina, że również jest bank danych, bank krwi i może być bank nasion – dodaje doktor Ostrowski.

W projekcie studiów varsavianistycznych zawiera się idea przedstawienia historii miasta historią dokonań intelektualnych. Studenci mają więc możliwość posłuchania o rozwoju infrastruktury miejskiej: zarówno tej materialnej i niematerialnej. Na zajęciach mowa jest nie tylko o urbanistyce czy historii miasta, ale także na przykład o ekonomii, metropolitalności Warszawy, psychologii i przestrzeniach społecznych, strategiach projektowania, budowaniu wirtualnych baz danych i modeli przestrzennych, o tworzeniu map hałasu, o sieciach komunikacyjnych czy wodociągowych tworzących „nerw miasta”.

Do współpracy w tworzeniu wykładów varsavianistycznych przyłączyło się wiele

osób, na przykład profesorowie: Henryk Samsonowicz, Andrzej Rottermund, Marek Kwiatkowski, Andrzej Blikle, Anna Lewicka-Morawska, Maria Lewicka oraz instytucji m.in. Trybunał Konstytucyjny, Muzeum Historii i Archiwum Państwowe m.st. Warszawy. W programie zajęć znalazły się m.in. wykłady o początkach Warszawy, miejskiej przestrzeni tożsamości, projektowaniu przestrzeni publicznych, czy zwyczajach i tradycjach w Warszawie od średniowiecza po współczesność. Gospodarzem większości zajęć jest Wydział Biologii. Spotkania odbywają się jednak także w innych miejscach. – Wykład o Warszawie okresu Canaletta odbył się w Sali Wielkiej Asamblowej Zamku Królewskiego, co stworzyło niesamowitą atmosferę – mówi Beata Rozum, doktorantka z Wydziału Chemii UW, która uczestniczy w zajęciach.

Autor „Projektu Warszawa” mobilizuje studentów do czynnego udziału w zajęciach. To właśnie oni opracowali dla szkół scenariusze lekcji z geografii, przyrody, języka polskiego, matematyki, fizyki, informatyki i kilku innych przedmiotów z wykorzystaniem obrazów lotniczych. – To znakomite projekty. Na lekcjach chemii o stopach możemy ograniczyć się do teorii i wzorów, ale możemy także omówić to zagadnienie poruszając się jednocześnie w miejskiej przestrzeni i jej historii – mówi dr Ostrowski. – Pomnik Syrenki, armaty, patyna na miedzianych dachach, to

OPINIE

dr hab. Anna Karmańska,
prof. Szkoły Głównej Handlowej,
prorektor uczelni

Dlaczego wspieram projekt „Varsavianistyka”?

Zajęcia mają wymiar humanistyczno-artystyczny-historio-techniczny-dyplomatyczny-kulturowo-poznawczy. Pewnie wiele innych określników pasowałoby do nich równie dobrze. To hybryda zagadnień, skoncentrowana jednak wokół jasno zdefiniowanego punktu w czasie i przestrzeni – wokół Warszawy. Z metodycznego punktu widzenia wykład jest bardzo interesujący i urozmaicony w zakresie stosowanych środków wizualizacji problemów oraz różnych koncepcji ich analizy. Każda partia programu może wzbudzać zaciekawienie nie tylko merytoryczne, ale także organizacyjno-techniczne. To po pierwsze. Po drugie, interesujący dla mnie, jako prorektora Szkoły Głównej Handlowej jest fakt, że program wykładu może być realizowany wspólnie przez kilka uczelni warszawskich. Podoba mi się ta inicjatywa kooperacji międzyuczelnianej, bo świadczy ona o tym, że jesteśmy skłonni podejmować wspólne działania pomimo odmienności, a może nawet w niektórych obszarach – konkurencyjności. I wreszcie po trzecie, pełna nazwa mojej uczelni brzmi: Szkoła Główna Handlowa w Warszawie. W samej nazwie jest uzasadnienie powodu, z jakiego pragnęłabym, aby nasi studenci – w szczególności spoza Warszawy i spoza Polski – poznali miasto, które, z chwilą przyjęcia na uczelnię, staje się ich miastem. Pragnęłabym także, aby nasi studenci rozwijali swoją wrażliwość, niekonwencjonalnie odkrywali otaczającą ich rzeczywistość, ćwiczyli zmysł obserwacji – a nade wszystko doświadczali czegoś oryginalnego, co jednocześnie doskonale komponuje się z kształtowaniem umiejętności ważnych zarówno w życiu, jak i w biznesie.

Moja uczelnia mogłaby – z racji profilu – uczestniczyć w varsavianistyce proponując wykład z obszaru powiązanego z ekonomią, finansami i szeroko rozumianym biznesem. Może ciekawe byłoby spojrzenie na Warszawę z tego punktu widzenia? Może poznawcze byłoby stworzenie mapy biznesowej naszego miasta? A może ciekawsze byłoby inne aspekty odnoszące się do Warszawy? Wśród naszej kadry wykładowej sporo mamy wykładowców o niekonwencjonalnych zainteresowaniach.



Wykład w Sali Wielkiej Asambłej Zamku Królewskiego, fot. M. Ostrowski

przecież nic innego jak właśnie metale i ich stopy – dodaje. Połączenie zdobytej wiedzy z konkretną rzeczywistością ułatwia uczniom zapamiętywanie materiału. Ta pionierska koncepcja edukacji jest przygotowywana przy wsparciu Biura Edukacji m.st. Warszawy. Dwutomowe wydawnictwo zawierające scenariusze studenckich lekcji ukaże się w tym miesiącu.

Podobnie jak w poprzednim roku na wykład varsavianistyczny przyjęto czterysta osób, bo aula w której się odbywa nie jest w stanie pomieścić większej liczby studentów. Chętnych było ponad dwa tysiące, choć zajęcia odbywają się późnym wieczorem. Zainteresowanie Warszawą okazało się niezależne od kierunku studiów i miejsca stałego zamieszkania. W zajęciach uczestniczą studenci uniwersytetu i wielu innych uczelni warszawskich. – Na każdym z wykładów dowiedziałem się czegoś nowego o swoim mieście, co pokazało mi, że na Warszawę należy patrzeć z różnych punktów widzenia, oczami różnych dziedzin naukowych – mówi Maciej Falkowski, absolwent Politechniki Warszawskiej, który uczestniczy w zajęciach po raz drugi z rzędu. Wykłady są niepowtarzalne – co roku zmienia się gruntownie ich tematyka.

Idea wykładów, zainicjowana na Uniwersytecie Warszawskim, wzbudziła zainteresowanie Politechniki, Akademii Sztuk Pięknych i Szkoły Głównej Handlowej. Z inspiracji dr. Ostrowskiego uczelnie wspólnie z miastem rozważają powołanie w najbliższym czasie Instytutu Warszawskiego *Collegium Varsoviense* – międzyuczelnianej jednostki, w której prowadzone byłyby interdyscyplinarne zajęcia poświęcone Warszawie oraz badania z zakresu dynamicznie rozwijanych na świecie *urban studies*. Udział w projekcie czterech uznanych uczelni warszawskich, o zróżnicowanym profilu, daje gwarancję zapewnienia wielorakiego spojrzenia na miasto. Poparcie dla idei utwo-

rzenia Collegium Varsoviense senaty UW i ASP wyraziły już w maju 2007 r.

Instytut Warszawski mógłby prowadzić różnorodne formy zajęć: otwarte wykłady dla studentów różnych kierunków, zajęcia dla uczniów, studia licencjackie i podyplomowe.

Autor studiów varsavianistycznych koncentruje się jednak na czymś znacznie istotniejszym niż formalna organizacja zajęć. – To tworzenie ruchu społecznego na rzecz rozwoju miasta – wyjaśnia naukowiec. – Warszawa współczesna jest nijaka, prowincjonalna. Budujemy miasto chaotycznie i nie na ludzką skalę, niezgodnie z naszymi standardami, sposobem poruszania się i myślenia – mówi. Celem studiów varsavianistycznych ma być wytworzenie intelektualnego i emocjonalnego związku studentów z miastem, w którym mieszkają i w którym spędzają większą część czasu. To sposób budzenia współodpowiedzialności za Warszawę. – Chodzi o uczenie przede wszystkim samodzielnego i odpowiedzialnego myślenia, spostrzegawczości, zdolności interpretacji i twórczego działania. I to już od szkoły podstawowej – dodaje doktor.

Powołanie Instytutu Warszawskiego pozwoliłoby zintegrować środowisko naukowe wokół spraw Warszawy i poszerzyłoby możliwości współpracy z władzami miasta. Instytut miałby poszukiwać formuł budowania elitarnej wspólnoty warszawiaków. – W Warszawie studiuje ponad 250 tysięcy osób. Jednak ze względu na pełnione przez nią funkcje stołeczne nie jest postrzegana jako miasto akademickie. Mam nadzieję, że dzięki zajęciom varsavianistycznym, uda się to zmienić z korzyścią i dla uczelni, i dla miasta – mówi prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, która gorąco wspiera projekt dr. Ostrowskiego.

Podobnego programu studiów nie stworzyła chyba żadna inna uczelnia na świecie.

Beata Rozum, doktorantka Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, uczestniczka zajęć

Czuję się częścią tego miasta

Nie jestem warszawianką. Przyjechałam tu na studia niemal 9 lat temu i od tego czasu tu mieszkam, pracuję, uczę się – żyję. Warszawa często mnie przygarnia, pociesza, bawi, zaskakuje, raduje. Potrafię się w niej zaszyc. Potrafię ją podziwiać. Potrafię też być nią rozczarowana i zmęczona. To jest cały wachlarz emocji.

Każdy wykład varsavianistyczny był dla mnie zaskoczeniem – niby o klimacie, a jednak o aspektach o których zupełnie nie pomyślałam; wprawdzie o psychologii miasta, ale zupełnie nie o psychologii tłumy. Za każdym razem byłam zaskoczona.

Po zajęciach zaczęłam bardziej świadomie funkcjonować w Warszawie. Patrzę na nią bogatsza o multidyscyplinarną wiedzę. Dostrzegam więcej obserwując te same miejsca i obiekty. Jednocześnie znajduję nowe elementy przestrzeni, których nie zauważałam. Mimo że były tu zawsze – przechodziłam obok nich bez świadomości ich istnienia. Widzę, dostrzegam, rozumiem, wiem. Czuję się częścią tego miasta, czuję się za nie odpowiedzialna, interesują mnie jego problemy i dylematy. Jestem bardziej świadomym obywatelem tej miejskiej społeczności.

Maciej Falkowski, absolwent Wydziału Matematyki i Nauk Informacyjnych Politechniki Warszawskiej, uczestniczy w zajęciach po raz drugi

Nie tylko wpis do indeksu

Jestem warszawiakiem, czy jak kto woli – warszawianinem. Na dzisiejszym obszarze miasta moja rodzina mieszka od co najmniej sześciu pokoleń. W grupie studentów różnych uczelni poznałem dyplomowanych przewodników po Warszawie i osoby prawdziwie zainteresowane miastem, które przychodzą na wykłady już ze sporym bagażem wiedzy – i nie kierują się jedynie potrzebą uzyskania wpisu do indeksu. Dzięki zajęciom osoby te mogły się spotkać i – co naocznie obserwuję – pod kierunkiem dr. Ostrowskiego coś pożytecznego stworzyć (choćby projekt zbioru „zadań warszawskich”, w którego pisaniu uczestniczyłem).

Jednak dopóki ludzie, którzy prawdziwie utożsamiają się z miastem nie będą stanowić jego władz, wątpię, aby tego typu działania entuzjastów przełożyły się na „globalne ulepszenie” Warszawy. W urzędzie miasta wciąż zdarzają się często decyzyjni ludzie, którzy nie znają historii rządzonego przez siebie obszaru (vide – historia z powstańcem grobem na Skwerze Hoovera). Może dobrym pomysłem byłoby delegowanie ich na zajęcia w poniedziałki o 18.15 w auli na UW?

Sztambuchowy zapis turystycznych wrażeń

WOJCIECH TYGIELSKI

Pamiętkowy wpis do sztambucha szwajcarskiego gwardzisty, Giovanniego Alto, był wyrazem wdzięczności za pomoc w zwiedzaniu, za fachowe oprowadzenie po siedemnastowiecznym Rzymie. Peregrynanci, którzy w ciągu kilkudziesięciu lat skorzystali z usług przewodnika, przybywali do Wiecznego Miasta z całej niemal Europy. Powstało w ten sposób unikalne źródło do dziejów nowożytnej turystyki.

Temat podróży odbywanych w przeszłości jest dziś bardzo popularny, co – między innymi – wiązać można z daleko większą niż dawniej mobilnością współczesnego społeczeństwa. Względna łatwość przemieszczania się, a także relatywnie częste zmiany miejsca pobytu powiększają grono osób tą tematyką zainteresowanych, co z kolei zachęca wydawców oraz potencjalnych autorów do jej podejmowania. Warto zauważyć, że ci ostatni czynią to na ogół w formie reportażowej oraz literackiej, w obrębie której zdaje się dziś dominować esejistyka.

Zainteresowanie podróżami ma charakter ogólnoeuropejski, ale Polska ma w nim swój pokaźny udział. Możemy bowiem poszczycić się zarówno przepiękną esejystyką Jarosława Iwaszkiewicza i Jana Parandowskiego, twórczością Ryszarda Kapuścińskiego lub prozą Zbigniewa Herberta, jak też bezcenną biblioteką pamiętników z podróży, przez lata wydawaną w PIW-ie przez Pawła Hertza; możemy czytać Wojciecha Karpińskiego „Pamięć Włoch”, zmierzyć się z „Podróżami z filozofią w tle” księdza Michała Hellera, albo też sięgnąć po „Biegunów” Olgi Tokarczuk, uhonorowanych tegoroczną nagrodą „Nike”.

Polskie tradycje peregrynanckie – jak wiele innych – sięgają średniowiecza, ale w okresie nowożytnym zjawisko to, zwłaszcza w swej fazie renesansowej oraz oświeceniowej, miało szczególnie duże znaczenie dla rozwoju narodowej kultury. Podkreślimy przy tym, że nasze uwagi ograniczamy do podróży po Europie, pozostawiając poza sferą zainteresowań podróże dalekie – odkrywanie nowych, odległych lądów i fascynacje kojarzoną z nimi egzotyka.

Podróże, odbywane w przeszłości, interesują także zawodowych historyków, a powody tego zainteresowania wydają się oczywiste. W dawnych czasach podróż była zjawiskiem nieporównanie rzadszym niż to ma miejsce współcześnie, przez co nabierała wyjątkowego charakteru i miała też większy rezonans społeczny; jej podjęcie wymagało przy tym niemałej determinacji, choćby dlatego, że zwią-

zane było z dużymi kosztami i jeszcze większym ryzykiem. Przede wszystkim jednak podróż odbywana w dawnych epokach była nie tylko okazją do poznawania obcych krajów i odmiennych realiów, ale – jako zjawisko popularne w kręgach elitarnych – w zasadniczym stopniu określała przepływ informacji w skali kontynentu, a tym samym stanowiła ważną formę edukacji.

Podróże, a dokładniej podróżnicze notatki oraz refleksje przy tej okazji formułowane są więc cennym źródłem do dziejów kultury. Bardzo liczne i stosunkowo dobrze zachowane relacje z podróży – przede wszystkim diariusze oraz spisywane *ex post* pamiętniki – dokumentują sposób postrzegania odmiennej rzeczywistości oraz skalę wartości i gusta poszczególnych peregrynantów; ich komentarze są więc swoistą autoprezentacją, pozwalającą nie tylko analizować realia odwiedzanych krajów, lecz także mentalność podróżników oraz zaplecze kulturowe, jakim ci dysponowali.



Johannes Jechl, 18 listopada 1628 r.: „Pan duro et aqua fresca, è provisione alla soldatesca” [Suchy chleb, czysta woda to żołnierza jest przygodą]

Dodajmy, że – choć próby takiego odczytania podróżniczych relacji wydają się oczywiste i w praktyce badawczej zdecydowanie dominują – nie jest to jedyny możliwy sposób wykorzystania tego rodzaju tekstów. Antoni Mączak, któremu zawdzięczamy podstawowe w polskiej literaturze przedmiotu studia na temat nowożytnych podróży, zainteresował się nimi przed laty jako historyk społeczeństwa i gospodarki. Szukając sposobów na porównywanie cen, płac i kosztów utrzymania, Mączak sięgnął do rejestrów podróżniczych wydatków. Zakładał bowiem, jak najślusniej, że potrzeby podróżnego i jego służby oraz, co ważne, wierzchowców, którymi ci się posługiwali, były stałe i nie podlegały większym zmianom oraz, że elementarny sposób zasp-

kojenia tych potrzeb nie mógł być zasadniczo różny, zależnie od miejsca pobytu, co zwłaszcza dotyczyło kategorii – siano i owies dla konia. Jeśli więc zachowały się rejestry owych wydatków, co nierzadko miało miejsce (dużą część podróży odbywano na czyjeś polecenie, trzeba więc było rozliczyć się z poniesionych kosztów przed władcą, kościelną zwierzchnością, albo też własnym rodzicem), to tego rodzaju zestawienia stwarzają znakomitą okazję do porównywania cen w różnych regionach Europy – jako podstawy do analizowania poziomu ich zamożności. Wydaje się oczywiste, że optyka gospodarczo-społeczna nie mogła w tym kontekście trwale dominować i szybko została wyparta, także w pracach Antoniego Mączaka, przez rozważania z zakresu historii kultury.

Tu jednak wypada sformułować jeszcze jedną uwagę warsztatową. Podstawowym źródłem do badania zjawiska podróży – w okresie poprzedzającym upowszechnienie się transportu kolejowego, co z kolei umożliwiło powstanie masowej, zorganizowanej turystyki – są relacje ich uczestników. Jest to źródło niezmiernie cenne, ale jednostronne. Dzienniki, pamiętniki i wspomnienia pozwalają odtwarzać podróżnicze trasy, poznawać spisywane na bieżąco obserwacje i wrażenia oraz komentarze, odnotowywać formułowane przy tej okazji oceny i porównania. Nowożytnie relacje podróżnicze, a jest to materiał niezmiernie bogaty i stale przez historyków oraz wydawców uzupełniany i udostępniany szerszemu gronu czytelników, dobrze ilustrują wczesną fazę europejskich procesów integracyjnych, wzajemne oddziaływanie oraz hierarchie istniejących na Starym Kontynencie kręgów kulturowych, a także dzielące je dystanse. Są to jednak, powtórzmy, przede wszystkim wypowiedzi samych podróżujących.

Daleko rzadziej natrafiamy na źródłowe komentarze osób stykających się z podróżnikami w miejscach, które ci odwiedzali; osób świadczących przyjezdnym różnorodne usługi albo też kontaktujących się z nimi całkiem bezinteresownie. Opinie oberżystów, a później hotelarzy, przewoźników i przedsiębiorców świadczących usługi transportowe, zawodowych przewodników, bankierów, oferujących podróżnym obsługę kredytową, czy też urzędników państwowych i miejskich, kontrolujących przepływ osób i towarów, stanowiłyby naszej wiedzy bardzo cenne uzupełnienie. Z tego rodzaju świadectwami mamy jednak do czynienia stosunkowo rzadko, toteż jedno z nich chcielibyśmy tu pokrótce zaprezentować – ze względu na oryginalny charakter, a także nie małe walory poznawcze oraz estetyczne.

W Bibliotece Watykańskiej, a dokładniej w kolekcji rękopisów rodziny Chigi (pod sygnaturą: BAV, Mss. Chigi G IV 114), przechowywany jest sztambuch, pochodzący z XVII w., a będący niegdyś własnością Giovanniego Alto, szwajcarskiego gwardzisty, który przez kilka dziesięcioleci pełnił służbę na dworze papie-

skim, a w czasie wolnym od służbowych obowiązków oprowadzał turystów po Wiecznym Mieście. Niezależnie od zainkasowania jakiejś gratyfikacji, której możemy się jedynie domyślać, nasz przewodnik zwracał się do swoich klientów o pamiątkowy wpis do sztambucha.

Turyści, początkowo na oddzielnych kartkach, wpisywali stosowną dedykację, zawierającą na ogół podziękowanie i wyrazy uznania dla kompetencji przewodnika, a w centralnym miejscu umieszczali swój herb, albo – rzadziej – jakiś okolicznościowy rysunek oraz krótką sentencję. Poszczególne wpisy, na ogół precyzyjnie datowane, zawierają też podstawowe informacje o autorach, pozwalające albo na pełną ich identyfikację, albo przynajmniej na określenie proveniencji oraz pozycji społecznej. Karty z dedykacjami zostały po pewnym czasie elegancko oprawione i uzyskały dzisiejszą postać czterech opasłych tomów o formacie sztambucha, z których każdy liczy po kilkaset stron. Poza pamiątkowymi wpisami oraz wizerunkami heraldycznymi w pamiętniku pojawiają się też kolorowe rysunki i miniatury, czasem połączane lub posrebrzane, przedstawiające sceny rodzajowe, rozgrywane się na ogół w miejskim otoczeniu (ulica, malowniczy zaułek, scena w karczmie, flirtująca para, przejażdżka gondolą).



Wolfgang Ludwik, baron Grumppenberg, 6 kwietnia 1633 r.: „Donna discompagnata è sempre mal guardata” [Pani, która sama bieży, nikt przynigdy nie ustrzeże]

Pominąć tu przyjdzie szczegóły dotyczące życiorysu naszego bohatera, choć te zostały ustalone i są łatwo dostępne. Powiedzmy jedynie, że Hans Hoch, którego imię i nazwisko zostało później zitalianizowane i przybrało formę Giovanni Alto, pochodził z Lucerny, gdzie urodził się w 1577 r.; do gwardii papieskiej wstąpił w pierwszej dekadzie XVII w., z pewnością zaś przed rokiem 1613 (tak bowiem datowany jest jego portret, autorstwa Francesco Villamena, na którym został przedstawiony jako rosły, brodaty mężczyzna w szwajcarskim uniformie, stojący na tle rzymskich budowli); w Rzymie, na dworze papieskim, Alto spędził całą resztę życia, awansując po pewnym czasie na oficera gwardii (*ufficiale*); zmarł w 1660 r., w wieku 83 lat.

Nietrudno wyobrazić sobie okoliczności, które doprowadziły do powstania sztambucha. Siedemnastowieczny Rzym, jego ruiny i przebogate „starożytności”, a także imponujące barokowe budowle (zarówno te niedawno wzniesione, jak i te, które nadal, już na oczach naszego bohatera, były budowane z wielkim rozmachem) musiały zafascynować przybysza z Północy. Obowiązki papieskiego gwardzisty nie były widać zbyt forsowne, toteż wolny czas mógł Alto przeznaczyć na wędrowki po mieście i zdobywanie wiedzy na jego temat. Szybko musiał się zorientować, że nie jest w swych zainteresowaniach odosobniony; na ulicach i placach ówczesnego Rzymu codziennie spotkać można było dziesiątki i setki przybyszów z całej Europy, motywowanych przede wszystkim religijnie, ale także objawiających zainteresowania o charakterze edukacyjno-poznawczym. Przynajmniej część z nich, choćby z uwagi na ograniczenia czasowe, była zainteresowana fachową pomocą i – dysponując niezbędnymi środkami finansowymi – skłonna była podczas zwiedzania skorzystać z usług przewodnika. Alto zaś, konsekwentnie budując swoją pozycję i zdobywając na gruncie rzymskim coraz większą renomę, nie odmawiał pomocy kolejnym zainteresowanym.

Pamiątkowe utrwalenie wspólnego zwiedzania było zapewne zgodne z intencjami obu stron. Papieskiemu gwardziście, dla którego funkcja przewodnika stała się ważną sferą aktywności, zależało na pisemnym potwierdzeniu kolejnych spotkań oraz na utrwaleniu personaliów coraz bardziej prestiżowej klienteli, choćby ze względów, które dziś określilibyśmy mianem „marketingowych”. Osobom oprowadzanym także nieobca była chęć odnotowania swojej obecności w tym gronie, które już wtedy musiało być postrzegane jako prestiżowe, udokumentowania swych potrzeb o charakterze turystycznym, a także profesjonalnej formy

ich zaspokojenia. Tak postrzegamy genezę sztambucha, w którym znalazło się grubo ponad tysiąc wpisów.

Dodajmy, że przy ich sporządzaniu najpewniej zapewniano turystom fachową pomoc, co dotyczyło zarówno wykonania herbowego wizerunku, jak też wyboru towarzyszącej mu sentencji. Podobieństwo kreślarskiego warsztatu zdaje się bowiem wykluczać tezę, że herbowe ilustracje były dziełem samych zwiedzających; raczej dostarczali oni zawczasu miejscowemu rysownikowi niezbędnych wskazówek, a po skończonym zwiedzaniu herb był już zapewne gotowy. Podczas pożegnalnej wieszczy (taka scena – notabene z udziałem postaci, w której możemy domyślać się samego Alto – została w sztambuchu uwieczniona), rysunek można było zaopatrzyć w datę, podpis, stosowną dedykację oraz okolicznościową sentencję.

Jeśli sentencje te potraktować jako lapidarną formę wypowiedzi ówczesnych turystów, to mogą one nieco przybliżyć nam osoby autorów, stworzyć szansę na określenie ich formacji kulturowej (jeśli nawet korzystali oni, co prawdopodobne, z jakichś kompendiów, czy też zbiorów złotych myśli, to i tak wybór tej najbardziej odpowiedniej był wynikiem indywidualnej decyzji). Tego rodzaju analiza wydaje się wyzwaniem zbyt poważnym, by podjąć je w przyjętej tutaj formule, ale warto może charakter owych tekstów choćby pokrótce omówić.

Motta przeważnie formułowano po włosku lub po łacinie, lecz posługiwano się także innymi językami – niemieckim, francuskim, hiszpańskim. Lektura owych sentencji pozwala na wyodrębnienie kilku charakterystycznych wątków oraz powtarzających się motywów. Pierwsza możliwa do wyodrębnienia kategoria zalecała skromność i ogólną wstrzeźliwość – najpierw pomyśl, potem powiedz; nie daj się ponieść emocjom; zachowaj umiar. Druga grupa, pierwszą logicznie uzupełniająca, wskazywała skuteczne, a zarazem godne aprobaty zasady postępowania – zachowuj się godnie i cnotliwie, a zyskasz przyjaciół i pokonasz wszelkie przeciwności; śpiesz się powoli; działaj łagodnie, ale konsekwentnie, a twój trud zostanie w końcu nagrodzony. Trzecia zawierała zalecenia dotyczące stosunków z otoczeniem, któremu nie należy się nigdy narzucać, ani też bliźnich pod jakimkolwiek pretekstem obmawiać; trzeba natomiast zwracać uwagę na ich potrzeby, być wyrozumiałym i tolerancyjnym, co zapewni tak pożądaną zgodę oraz harmonię. Zestawienie to należałoby uzupełnić o szeroką gamę złotych myśli, bardzo zróżnicowanych treściowo – od pochwały zdrowia, które jest bogactwem bezcennym i często nie uświadamianym, aż po przekonanie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

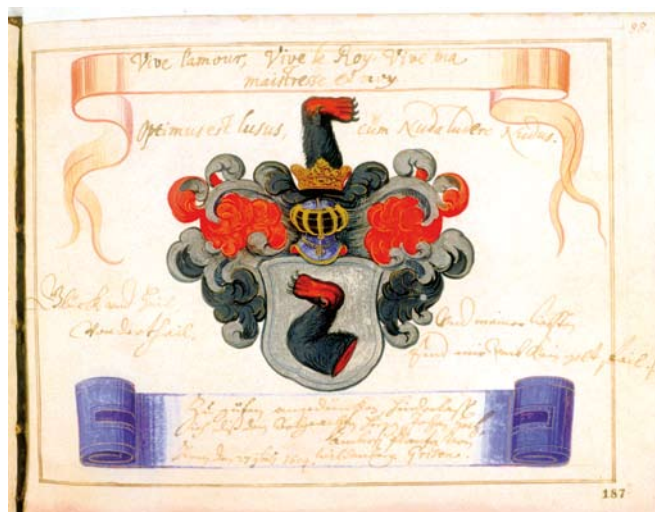
W sztambuchu pojawiają się także sentencje będące manifestacją pobożności osób pod nimi podpisanych i podkreślające religijny charakter ich rzymskiej wizyty, jednak dominują wpisy o charakterze świeckim, wyraża-



Ernest Baldasar Snabel, z Wrocławia, 15 maja 1644 r.: „Chi vuol che sia ben detto di lui, guardisi di non dir mal d'altrui” [Kto chce, by o nim dobrze mówiono, niech nigdy o innych źle nie mówi]

jące beztróskę życia i radość z powodu rycerskiej przygody, a także deklaracje o charakterze wręcz frywolnym. Stanowią to może ważną wskazówkę dotyczącą charakteru wizyt składanych w ówczesnym Rzymie, których religijny charakter był zapewne dominujący, ale wcale nie oznaczało to wykluczenia innych motywacji.

Działalność Giovanniego Alto, którą dokumentuje zachowany sztambuch, trwała 44 lata – od roku 1616 do 1659; skorzystało z niej w tym czasie i dokonało pamiątkowego wpisu – 1326 osób. Jest to próba badawcza relatywnie bogata, stwarzająca pole do różnorodnych interpretacji, których nie należy ograniczać do – sygnalizowanych już – rozważań nad formacją intelektualną przybyszów oraz charakterem ich rzymskich pobytów. Mamy tu bowiem do czynienia z jednoznacznym potwierdzeniem faktu odwiedzenia Rzymu przez konkretne osoby, których biografie nie zawsze ten fakt uwzględniały. Przeglądając sztambuch można też, a doprawdy rzadko mamy taką okazję, zająć się turystycznymi realiami – próbować ustalić pory roku oraz dni tygodnia, które uznawano za najbardziej do zwiedzania dogodne, oszacować liczebność oprowadzanych grup, a może nawet ustalić najważniejsze obiekty oraz przebieg typowej turystycznej trasy; można wreszcie poddać analizie strukturę zbiorowości przyjezdnych, którzy z usług przewodnika skorzystali.



Ambroz Planta von Wildenberg, Szwajcar, 27 listopada 1654 r.: „Vive l'amour, Vive le Roy, Vive ma maistresse et moy” [Niech żyje miłość, niech żyje król, niech żyje ja i dama ma]

Zgodnie z kwalifikacjami językowymi, Alto oferował swe usługi przybyszom *di nazione tedesca*, a więc osobom niemieckojęzycznym. W praktyce oznaczało to nie tylko obywateli państw Rzeszy, lecz także Szwedów, Duńczyków, Anglików oraz mieszkających w Niemczech; niekiedy wśród oprowadzanych pojawiali się także Francuzi i Hiszpanie, a nawet – choć bardzo nieliczni

– Włosi. Podróżni z terenów Rzeczypospolitej stanowili w tym gronie grupę liczbowo marginalną, ale najbardziej znane postacie z pewnością warto tu wymienić.

Młodzi Lubomirscy, Aleksander Michał i Jerzy Sebastian, przyszły rokoszanin, synowie Stanisława, podówczas wojewody ruskiego, rozpoczęli swój edukacyjny *Grand Tour* pod koniec lat dwudziestych XVII w. Po studiach w Krakowie odwiedzili Ingolsztadt i Lowanium, a zapewne także Kolonię, skąd Aleksander udał się jeszcze do Lejdy, by następnie – już tylko w towarzystwie preceptora, Sebastiana Kokwińskiego podczasowego braclawskiego, dotrzeć do Rzymu. Do sztabu Aleksander wpisał się 30 kwietnia 1634 r.; wpis Kokwińskiego, co ciekawe, nosi datę o tydzień wcześniejszą, natomiast Jerzy Lubomirski z usług szwajcarskiego przewodnika skorzystał dwa lata później – 12 kwietnia 1636 r. Mniej więcej w tym samym czasie dotarł do Rzymu Władysław Dominik Zasławski, książę na Ostrogu, przyszły koniuszy koronny i wojewoda krakowski, jedna z czołowych postaci na polskoliteńskiej scenie politycznej w okresie wojen kozackich oraz „potopu” szwedzkiego; co ciekawe, o zagranicznych podróżach Władysława Dominika – w przeciwieństwie do jego ojca, Aleksandra wojewody kijowskiego – milczą herbarze. Pojawiają się też w tym gronie: Florian Zamoyski chorąży chełmski (zapewne syn Wacława kasztelana lwowskiego), nazwany polskim rycerzem (*eques Polonus*), Stanisław Skarszewski, dworzanin i sekretarz królewski (*S.R.M. Secretarius et Aulicus*), którego pobyt niestety nie jest precyzyjnie datowany, a także luteranin Jan Gibel (zapewne syn byłego za granicą Jakuba, wieloletniego rajcy i burmistrza wileńskiego), który z kolei określił się jako Litwin (*Lithuanus*).

Całą tę zbiorowość, niezależnie od różnicowanego statusu społecznego oraz miejsca pochodzenia, łączyła – jak się wydaje – specyficzna formacja kulturowa, która wizytom w Wiecznym Mieście nadawała raczej turystyczny niż pielgrzymkowy charakter. Dodajmy, że sama gotowość do skorzystania z usług zawodowego przewodnika w korzystnym świetle stawia całą zbiorowość jego klientów, pozwalając przypisać im potrzeby intelektualno-poznawcze wysokiej próby. Obywatele Rzeczypospolitej, jak widzimy, także znaleźli się w tym gronie i mogli skorzystać z formuły zwiedzania, która świadczyła zarówno o rozbudzonych zainteresowaniach oraz potrzebach intelektualnych nowożytnych peregrynantów, jak też o postępującej profesjonalizacji obsługi ruchu turystycznego.

Prof. dr hab. Wojciech Tygielski jest pracownikiem Instytutu Historycznego UW; specjalizuje się w historii nowożytnej Polski i Europy. Interesują go w szczególności kontakty polsko-włoskie oraz dzieje podróży i nowożytnej dyplomacji.

Spółeczny mikrokosmos

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA

Trendy

Poziom partycypacji obywatelskiej – czyli najprościej rzecz ujmując udziału obywateli w rządzeniu państwem – jest w Polsce na tle innych krajów europejskich bardzo niski. Prześcignęły nas nie tylko państwa zachodnie, z długimi tradycjami demokratycznego ustroju, ale nawet niektóre kraje postkomunistyczne. Tylko około połowa uprawnionych do głosowania bierze udział w wyborach parlamentarnych; niewiele więcej uczestniczy w elekcji prezydenta. Rzadko angażujemy się w niepartijną działalność polityczną, taką jak podpisywanie petycji czy udział w demonstracjach. We wszystkich tych statystykach Polska jest znacznie poniżej średniej europejskiej. Systematycznie spada też liczba nowo powstających organizacji pozarządowych oraz liczba ich członków. Coraz mniej Polaków deklaruje przynależność do ruchów o charakterze społecznym czy religijnym. Spada liczba wolontariuszy oraz odsetek darczyńców na rzecz organizacji III sektora. Pokazują to wyniki sondaży opinii publicznej oraz raporty przygotowane w ostatnich latach przez rozmaite koła eksperckie*. Przyczyn tej sytuacji szuka się w uwarunkowaniach historycznych, kulturowych i gospodarczych. Przytaczanie coraz bardziej niepokojących danych zawsze prowadzi do jednego – pytań „dlaczego?” i „co zrobić, aby te trendy odwrócić?”.

Diagnoza

Wiedzę na temat mechanizmów powyższych zjawisk mogą przynieść badania, które już wkrótce ruszą w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Projekt „Partycypacja obywatelska. Diagnozowanie barier i tworzenie narzędzi wzmacniających dobre rządzenie” ma dostarczyć w tym zakresie nie tylko szczegółowych odpowiedzi, ale i konkretnych narzędzi prowadzących do odwrócenia niepożądanych procesów. Instytut Socjologii dostał na realizację projektu 834 tys. euro z tzw. funduszy norweskich (Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego oraz Norweskiego Mechanizmu Finansowego). Jego zakończenie przewidziane jest na rok 2011.

– Mimo dwudziestu lat funkcjonowania w Polsce wolności i demokracji, mamy ogromny problem z obywatelskim zaangażowaniem, czy mówiąc prościej ze zwykłą partycypacją, której przejawem jest np. pójście na zebranie członków wspólnoty mieszkaniowej – mówi prof. Anna Giza-Poleszczuk z IS UW, koordynatorka zespołu, który przygotował projekt. – Jest to zagadka trapiąca wszystkich,

nie tylko uczonych, ale przede wszystkim organizacje III sektora, które od dwudziestu lat walczą z tą pasywnością, m.in. zakładając biura porad obywatelskich i centra aktywności lokalnej – dodaje.

Jedną z organizacji pozarządowych, która od lat zajmuje się tą problematyką, jest Stowarzyszenie Klon/Jawor – partner Instytutu Socjologii w projekcie. Na realizację swojej części przedsięwzięcia, zatytułowanej „Moja Polis – interaktywny system monitoringu partnerstwa lokalnego i rozwoju aktywnych społeczności lokalnych”, stowarzyszenie otrzymało 693 tys. euro, także z funduszy norweskich.

Sondaże efektywności mediów

Pierwszym elementem projektu „Partycypacja obywatelska” będzie przeprowadzenie badania wśród 4 tys. przedstawicieli administracji publicznej oraz 14 tys. obywateli. Innowacyjną jest nie tylko wielkość próby (przyzwyczajeni jesteśmy do sondaży wykonywanych na losowej próbie tysiąca osób), ale także metodologia. – Utarło się w Polsce zadawać ludziom w sondażach pytania, na które oni naprawdę nie mogą znać odpowiedzi. Są to pytania o abstrakcyjne byty, których nikt nigdy nie widział i nie może znać z własnego doświadczenia – tłumaczy prof. Giza-Poleszczuk. Błędem jest jej zdaniem, pytanie ludzi o ich opinię na temat np. „usługi zdrowia”, „demokracji”, „inflacji” czy „polskiej gospodarki”. Z własnego doświadczenia znamy „swoich” lekarzy, przychodnię, szpital – ale nie „służbę zdrowia”. – W zasadzie ludzie nie mogą mieć na tak abstrakcyjne tematy opinii, choć oczywiście udzielają jakichś odpowiedzi. Tylko nasuwa się pytanie, o czym oni właściwie mówią, gdy np. stwierdzają, że polska gospodarka jest w złym stanie, a służba zdrowia pozostaje w kryzysie. W rzeczywistości powtarzają to, co usłyszą w telewizji. Większość tych sondaży to sprawdzanie efektywności działania mediów – czy ludzie już się nauczyli i czy to powtarzają? Na podobnych zasadach jak działa reklama – wyjaśnia pani profesor.

Obywatele, którzy wezmą udział w ankietach Instytutu Socjologii, będą traktowani, według metodologii rozwiniętej w Stanach Zjednoczonych, jak konsumenci usług publicznych. Będą pytani o wiedzę, którą mają prawo posiadać. – Możemy ludzi pytać, czy w ostatnim okresie byli u lekarza lub zgłaszali sprawę w sądzie rejonowym i jakie było ich realne doświadczenie oraz czego się spodziewają na przyszłość – przekonuje socjolog. Zinterpretowanie cząstkowych wyników badań i uzyskanie bardziej ogólnych opinii będzie zadaniem naukowców. – To my jeste-

śmy od tego, żeby pokazać na poziomie ogólnym satysfakcję z usług „służby zdrowia” czy innych usług publicznych – podkreśla pani profesor.

Dobór kilkunastotysięcznej, czyli ogromnej jak na polskie warunki, próby losowej ma pozwolić naukowcom zebrać opinie dotyczące rzeczywistych doświadczeń, jakie ludzie mają z wymiarem sprawiedliwości, administracją publiczną czy szkolnictwem. Badania obejmą możliwie dużą liczbę instytucji publicznych, umożliwią porównanie „jakości” świadczonych przez nie usług oraz porównania regionalne, dla wybranych gmin i powiatów. – Polska jest krajem niezwykle zróżnicowanym. Sąsiadujące ze sobą powiaty, a czasem nawet gminy są bardzo różne. „Średnie zadowolenie” nic nam nie mówi. Chcemy popatrzeć na świat, w którym ludzie żyją realnie. Ich doświadczenia związane są z konkretnym terytorium, na którym funkcjonują – wyjaśnia socjolog. W grupie tysiąca osób trudno byłoby uchwycić różnice pomiędzy 379 polskimi powiatami.

Będziemy tylko „akuszerami”

Kolejnym etapem będzie przeprowadzenie eksperymentalnego audytu społecznego. Mieszkańcy kilku wybranych powiatów zostaną poinformowani o wynikach badania. – Razem z nimi przejdziemy przez te dane. Będziemy tam tylko kimś w rodzaju „akuszerów”. Mieszkańcy przy pomocy naszych moderatorów będą mieli szansę wypracowania własnej diagnozy sytuacji i zidentyfikowania problemów swojej społeczności – zapowiada prof. Giza-Poleszczuk.

Następnie zostaną zorganizowane debaty na temat zidentyfikowanych problemów oraz formułowanych przez mieszkańców postulatów. Wezmą w nich udział mieszkańcy powiatu i kluczowi interesariusze, czyli m.in. władze samorządowe, lokalni przedsiębiorcy, dyrektorzy szkół. Rolą debat będzie ustalenie priorytetowych celów danej społeczności. Jak zachęcić Polaków do wzięcia udziału w takich debatach, skoro dotychczas nie wykazywali chęci do angażowania się? Prof. Giza-Poleszczuk przekonuje, że nie jest to wcale takie trudne. – Ludzie są zainteresowani miejscem, w którym żyją. Nie trudno z nich wykręcać aktywność pod warunkiem, że zbuduje się wstępne zaufanie – wyjaśnia.

Naukowcy skorzystają z wzorów brytyjskich i niemieckich oraz własnych doświadczeń wyniesionych z wcześniejszych projektów. Przy okazji rewitalizacji warszawskiej Pragi socjologowie mieli za zadanie włączyć mieszkańców w ten proces. Swoją pracę rozpoczęli od przeprowadzenia wywiadów ze starymi mieszkańcami oraz zeskanowania starych fotografii dzielnicy, pochodzących z prywatnych zbiorów Warszawiaków. Później zorganizowali wystawę, która cieszyła się dużym zainteresowaniem, świadczącym o powodzeniu ich zabiegów. – Trzeba to robić metodą małych kroków – podkreśla prof. Giza-Poleszczuk.

Najważniejszym warunkiem udanej debaty jest jednak gwarancja, że wypracowane rozwiązania zostaną wprowadzone w życie. Przykładem dla Polski powinna być tu Wielka Brytania, gdzie partycypacja obywatelska ma bardzo silne podstawy prawne – nawet lokalny budżet musi zostać uzgodniony z mieszkańcami. W Polsce konsultacje społeczne najczęściej nie mają żadnego wpływu na ostateczne decyzje. – Żeby debaty się powiodły, konieczna jest deklaracja ze strony lokalnych decydentów, że to, co uzgodnią wspólnie z mieszkańcami, zostanie zrealizowane, nawet jeśli nie będzie się to władzom podobało. Dlatego wybór miejsc na debatę będzie miał charakter eksperymentalny – tłumaczy pani profesor.

Moja Polis

Projekt Instytutu Socjologii wyrasta z przekonania, że podstawową barierą partycypacji obywatelskiej Polaków jest brak wiedzy, za który oni sami nie są odpowiedzialni. – W Polsce informacja publiczna o stanie naszego najbliższego środowiska jest fizycznie i psychologicznie niedostępna. Gdyby np. mieszkańcy Międzyzlesia chcieli dowiedzieć się, jaka jest sytuacja jego gminy, z jakimi boryka się ona problemami, to nie znajdzie źródła, które może mu takich informacji udzielić – wyjaśnia prof. Giza-Poleszczuk. Barierą psychologiczną jest natomiast ekspercki żargon dostępnych opracowań. – Konia z rzędem temu, kto rozumie co to jest np. współczynnik scholaryzacji netto i brutto – dodaje socjolog.

Wzorem dla innych krajów w dziedzinie udostępniania informacji publicznej powinna być po raz kolejny Wielka Brytania. Dział tam m.in. strona Scottish Neighbourhood Statistics (www.sns.gov.uk), dzięki której przeciętny Szkot, mieszkający w małej społeczności może sprawdzić jakie jest np. zanieczyszczenie powietrza w jego gminie, a jakie w gminach sąsiednich. Następnie może zainterweniować u odpowiednich władz w sprawach, które budzą jego niepokój. Wszystkie te informacje podane są w niezwykle przyjaznym, zrozumiałym języku.

Brak dostępu do szeroko rozumianej informacji publicznej nie jest jedynym problemem. – Ludzie nie mają rzetelnych informacji, a z drugiej strony są ofiarami przepychanek informacyjnych – zauważa prof. Giza-Poleszczuk. Uczestnicy debaty publicznej podają często sprzeczne informacje. Statystyki, prezentowane w sposób nieuczciwy, stają się elementem gry politycznej. Nie tylko politycy zachowują się w ten sposób. Także tzw. aktorzy komercyjni rozdumuchują pewne problemy, a wszystko po to, by zwiększyć sprzedaż swoich produktów.

Ambicją osób zaangażowanych w projekt „Partycypacja obywatelska” jest stworzenie przyjaznych sposobów dostępu do informacji publicznej, przede wszystkim internetowych. Za tę część prac odpowiedzialne jest Stowarzyszenie Klon/Jawor oraz jego partner – Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych.

Materiał zebrany w ogólnopolskim badaniu Instytutu Socjologii oraz inne dostępne dane statystyczne zostaną wykorzystane przy tworzeniu portalu „Moja Polis”. – Na bazie interaktywnej mapy Polski stowarzyszenie stworzy przyjazny portal, który będzie gromadził, sieciował i integrował różnego rodzaju statystyki, dokładnie tak jak Scottish Neighbourhood Statistics – zapowiada prof. Giza-Poleszczuk. Dzięki takiemu serwisowi mieszkaniec dowolnej polskiej gminy będzie mógł zobaczyć np. jakie jest w jego gminie bezrobocie, w porównaniu z sąsiednimi gminami, lub czy w jego gminnej szkole przeciętna z egzaminów zewnętrznych jest wyższa czy niższa od średniej. Dzięki takim danym będzie można zobaczyć w jakim zakresie gmina się rozwija, a które kwestie wymagają poprawy. Słabe wyniki z egzaminów zewnętrznych mogą spowodować interwencję u dyrektora szkoły z myślą o podniesieniu poziomu edukacji.

W planach jest także przygotowanie przewodnika, który ma nauczyć ludzi, jak sprawdzić co dzieje się w ich gminie i jak rozumieć poszczególne statystyki. Instytut Socjologii zamierza także zorganizować kilkadziesiąt konferencji lokalnych, żeby zachęcić ludzi do korzystania z nowych narzędzi. – Chcemy ludzi nauczyć docierać do informacji i rozumieć świat, w którym żyją. Chcemy im dostarczyć informacji oraz narzędzi, dzięki którym zrozumieją środowisko, w którym żyją – wyjaśnia prof. Giza-Poleszczuk.

Skutki uboczne

Dla Instytutu Socjologii program będzie nie tylko doskonałą okazją do zebrania unikatowego i niezwykle interesującego materiału. Dzięki zaangażowaniu w badania wykładowców, doktorantów i studentów, może on mieć, zdaniem prof. Giza-Poleszczuk, dodatkowy pozytywny „skutek uboczny”. – W zbyt niewielkim stopniu stanowimy wspólnoty – zbiorowości ludzi powiązanych wspólną tożsamością, których animuje wspólny cel. Bardzo bym chciała, żeby ten długotrwały, bardzo prestiżowy i ważny społecznie projekt stał się dla naszego instytutu platformą, na której będziemy mogli się silniej zintegrować – przewiduje pani profesor. Część środków zostanie wykorzystana na zabiegi związane z szeroko rozumianą komunikacją społeczną m.in. promocję projektu w prasie. – Może być to też szansa na większe zaistnienie naszego instytutu, i naszego uniwersytetu, w powszechnej świadomości – dodaje.

* „Raport o Kapitale Intelektualnym Polski”, Zespół Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów, lipiec 2008 r.; „Indeks społeczeństwa obywatelskiego 2008”, CIVICUS, styczeń 2008; „Penuria społeczeństwa obywatelskiego, 2002-2007”, TNS OBOP, styczeń 2007; „Czy obywatele mają wpływ na sprawy publiczne?”, CBOS, styczeń 2008; „Czy Polacy mają predyspozycje do pracy społecznej na rzecz swojej społeczności?”, CBOS, styczeń 2008; „Wiedzi społeczne i wzajemna pomoc”, CBOS, luty 2008; „Polacy o swojej aktywności społecznej”, CBOS, luty 2008; „Wolontariat, filantropia i 1%”, Raport z badań 2007; Stowarzyszenie Klon/Jawor, 2008; European Social Survey (ESS) 2006/2007;

Zasłaniający twarz

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL



Karawana zaskoczona przez burzę piaskową. Okolice Iferouane, Air, Niger, fot. A. Rybiński

– Jest takie miejsce na Ziemi, gdzie mężczyźni noszą miecze i włócznie, kobiety opiewają w pieśniach czyny bohaterów, a sprzeniewierzenie się zasadom honoru grozi wykluczeniem ze społeczności – opowiada dr Adam Rybiński, pracownik Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Naukowiec od ponad 30 lat prowadzi badania wśród Tuaregów, niezwykłego ludu zamieszkującego południową i centralną Saharę.

Wielbłąd to zwierzę szlachetne

Tuaregowie są berberskim ludem koczowniczym, zamieszkującym strefę Sahelu w Mali, Nigrze i Burkina Faso. Od początku podboju kolonialnego Afryki fascynowali przybyszów z Europy: dumni, z długimi mieczami przy boku, odziani w szaty farbowane na niebiesko barwnikiem indygo, który w upałach przenosi się też na skórę. Byli nazywani błękitnymi ludźmi. Sami siebie określają *Kel Tamaszek*, czyli mówiący w języku tamaszek, bądź *Kel Tagelmust* – zasłaniający twarz. Ta nazwa pochodzi od charakterystycznego dla mężczyzn tuareckich zwyczaju szczelnego zakrywania twarzy specjalnym zawojem. *Tagelmust*, czyli kawałek tkaniny również ufarbowanej barwnikiem indygo służył mężczyznom do zawijania głowy i szczelnego zakrywania czoła oraz ust przez które „wchodzi” złe siły. Może dziwić, że szczelne zawoje muszą tu nosić nie kobiety a właśnie mężczyźni, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że Tuaregowie są muzułmanami. – Przez bardzo długi czas, nawet jeszcze w początkach XX wieku, Tuaregowie byli postrachem wśród swych sąsiadów – mówi dr Adam Rybiński.

– Wojownicy tuarescy słynęli ze swojej odwagi i przebiegłości. Z łatwością opanowali handel karawanowy na Saharze i bezcenną jeszcze do niedawna jego gałąź – handel solą. Dowodem ich potęgi handlowej jest to, że stworzyli tak ważne i duże ośrodki jak Tademakka i Timbuktu. Byli też zaangażowani w handel niewolnikami, toteż wiele ludów afrykańskich, których członkowie byli sprzedawani w niewolę, do dziś nienawidzi „błękitnych ludzi”. Ich niesamowity wygląd i poważne podejście do tradycyjnych wartości sprawiły, że Europejczycy kojarzyli ich z rycerzami. – Proszę sobie wyobrazić jeźdźcę odzianego w niezwykle szaty, z mieczem przy boku, noszącego zawój kojarzący się z zasłoniętą przyłbicą. Jeśli nałożymy na to ich mentalność, a przede wszystkim przywiązanie do takich wartości, jak honor, męstwo oraz niezmienny szacunek dla kobiet i nieograniczone umiłowanie poezji, stanie przed nami rycerz prosto ze średniowiecznych podań – opowiada badacz. Być może dlatego niektórzy Europejczycy widzieli w Tuaregach potomków rycerzy św. Ludwika, którzy w ucieczce przed muzułmanami zapuścili się aż na Saharę. – Może nam się to wydawać dziwne, ale jest wiele elementów, które zakorzeniły się w kulturze tuareckiej być może przez ich kontakty z krzyżowcami – twierdzi Rybiński. – Jest to choćby istniejący do niedawna zwyczaj kreślenia nożem znaku krzyża na chlebie.

Jest wiele hipotez dotyczących pochodzenia Tuaregów. Mówi się, że są potomkami dawnych Libijczyków czy berberskojęzycznych Lemta żyjących na stepach Mali. I mimo że ich pochodzenie do dziś jest niejasne, Tuaregowie byli przez wieki poniekąd symbolem Sahary i uosobieniem pasterzy koczowniczych.

W surowych warunkach życia na Saharze, ogromnego znaczenia nabierają zwierzęta. Szczególnie ważne są wielbłądy, cenne przede wszystkim dzięki swej ogromnej wytrzymałości: wielbłąd transportowy może unieść na swoim grzbiecie ciężar do 200 kg, podczas gdy wielbłąd „pod wierzch” może biec niemal bez przerwy nawet 300 km. Poza tym są oczywiście źródłem mleka, mięsa, skór. O ich znaczeniu świadczy też bogactwo słownictwa stosowanego w opisach. Jeden z badaczy kultury tuareckiej, Claude Blangueron pisał w połowie XX wieku w ten sposób: „Dla Tuarega wielbłąd jest jego życiem, dzięki niemu może wędrować zgodnie z własną wolą po pustyni, gdzie nie ma studni, a gdzie pastwiska są dobre. Wielbłąd jest jego radością, pozwala mu dowiedzieć swych wartości, jest przedmiotem obawy gdy jest chory, bądź gdy zginął po zerwaniu pęt, gdy trzeba dniami podążać po jego śladzie, aby go pochwytać. Wielbłąd jest również bogactwem, skalą wartości, prezentem urodzinowym i małżeńskim; to zwierzę szlachetne.” Drugim, ważnym choć już nie tak poważnym zwierzęciem, jest koza.

Nie odmawiaj kowalowi

Tuaregowie nadal są wierni tradycjnemu podziałowi społeczeństwa, które dzieli się na dwie podstawowe grupy: białych – panów oraz czarnych – niewolników i rzemieślników. Wśród białych najwyższą pozycją cieszą się członkowie rodów szlacheckich, z których wywodzą się wyspecjalizowani wojownicy. Kolejną grupą są wasale, którzy zajmują się handlem karawanowym na dużą skalę oraz pasterstwem. Specjalną grupą wśród białych są marabuci. Dzięki swej znajomości prawa koranicznego często pełnią rolę mediatorów, arbitrów lub nauczycieli Koranu. Czarni Tuaregowie są grupą, która nie cieszy się najmniejszym nawet poważaniem. Jako potomkowie niewolników nie znają własnych przodków. Dla białych Tuaregów, którzy często potrafili bez zająknięcia wymienić swoich przodków kilka pokoleń wstecz, jest to przywara nie do zaakceptowania. – Czarni często nie znają swojej genealogii i dlatego uchodzą za gorszych, za ludzi „znikąd”. Uważani są za ludzi bez przeszłości, bez przodków, ponieważ wywodzą się z rodzin niewolniczych – tłumaczy badacz. Dzielą się na rzemieślników i niewolników. Rzemieślnikami powszechnie się gardzi, ale budzą też obawy, częściowo dlatego że porozumiewają się swoim językiem, niezrozumiałym dla innych. Szczególną grupą wśród nich są kowale. – Tuaregowie mawiają, że kowal nie może pójść do nieba ze względu na swoje konszachty z szatanem; jest czarownikiem, potrafi rzucić nawet urok. Mówi się też, że kowalowi nie wolno odmówić, bo jest niebezpieczny – opowiada badacz. Najniższą grupą społeczną są dawni niewolnicy. W przeszłości byli częścią dobytku zarówno mężczyzn, jak i kobiet i dzieci. Niektórzy nawet dziś, gdy są już wyzwoleni, nadal pracują na rzecz swoich niegdyśjszych panów. – Tradycyjna struktura społeczna u Tuaregów jest wciąż żywa. Nadal ich społeczeństwo dzieli się na białych i czarnych, na niewolników



Poranne pojenie kóz i owiec w obozowisku Tuaregów Kel es Suk, Gurma, Mali, fot. A. Rybiński

i ich panów, na pasterzy i kowali – mówi Rybiński. – Wydaje się, że elementy kultury tradycyjnej i współczesnej nie mogą istnieć obok siebie. W Afryce widać, że mogą – dodaje.

„Oko szczęścia” decyduje

Tradycyjnie też w społeczeństwie tuareckim bardzo ważną rolę pełnią kobiety. To właśnie one lepiej posługują się pismem, znają na pamięć wiele pieśni, poezję i umieją grać na *imzad*, tradycyjnym instrumencie będącym rodzajem gęśli. Wszystko to sprawia, że to kobiety są strażniczkami bogatej tradycji tuareckiej. W wielu przypadkach pełnią również rolę głowy rodziny. – W gruncie rzeczy takie rozwiązanie przyszło samo, ponieważ mężczyźni stale nie było w obozowiskach – brali udział w wystawach wojennych, wypasali stada, podróżowali w karawanach. Dlatego wszystkim u Tuaregów „rządzą” kobiety, one są stałym elementem w rodzinie – tłumaczy Rybiński. Badacz zna wiele

rodzin, gdzie wszystkie decyzje podejmują właśnie kobiety. – W czasie jednej z moich podróży spotkał się piękną kobietą, której imię można przetłumaczyć jako „oko szczęścia”. To ona o wszystkim decydowała, mimo że w okolicznych namiotach mieszkał jej brat i inni mężczyźni. To ją prosił o zgodę na nocleg w jej obozowisku – opowiada. Na specjalne podkreślenie zasługuje fakt, że ta – tak ważna w hierarchii – kobieta była szczupłą. Do dzisiaj bowiem wśród Tuaregów największym powodzeniem cieszą się panie o najobfitszych kształtach. To właśnie one mają szanse na najlepsze zamążpójście. Dlatego właśnie wiele dziewczynek jest tu od wczesnego dzieciństwa tuczonych mlekiem wielbłądzim, muszą go wypić nawet do 12 litrów dziennie. Jednocześnie podawane są im tłuste potrawy. – Pamiętam, gdy w czasie jednej z moich podróży pokazałem moim tuareckim rozmówcom zdjęcie żony jednego z ich dawnych wodzów. Kobieta ważyła prawie 180 kg – wspomina badacz. – Reakcja była u wszyst-

kich moich rozmówców jednakowa: zachwyt, prawdziwy zachwyt.

„Oto ja, który podarowałem ci białego wielbłąda”

Jedną z hipotez dotyczącą pochodzenia Tuaregów mówi, że wywodzą się od Libijczyków. Korzeni tej hipotezy można doszukiwać się w *tifinar*, tuareckim piśmie, które zdaje się być powiązane z dawnym pismem libijskim. Składa się z 24 liter odpowiadających 24 podstawowym głoskom. W pisowni nie stosuje się wielkich liter, odstępów ani znaków interpunkcyjnych, a wyrazy zlewają się w jeden, bardzo długi ciąg. Dodatkowo pismem tym można pisać w dowolny sposób: od lewej do prawej, z góry na dół, z dołu na górę, a nawet w koło. Dlatego też badacze przypuszczają, że pismo *tifinar* nie służyło do tworzenia długich przekazów, ale do przekazywania najistotniejszych informacji w formie krótkich komunikatów. Listy pisane w *tifinar* lub po arabsku, zawsze zaczynało się formułą umożliwiającą identyfikację nadawcy i tym samym ocenę wagi informacji. Dlatego też w listach czytamy: „Oto ja X, którego rozpoznasz po tym, że w dniu tym i miejscu tym podarowałem ci białego wielbłąda.”

– Tuaregowie mimo swego wizerunku twardego wojownika, są bardzo otwarci, zwłaszcza na przybyszów z Europy. – „Błękini ludzie” fascynują również współczesnych Europejczyków, a raczej Europejki... – mówi Rybiński. – Wiele kobiet z zachodniej części Starego Kontynentu przyjeżdża do Afryki właśnie po to, by poznać bliżej tych jakże kochliwych ludzi – dodaje. Niestety związki ludzi z tak różnych kultur nie mają dużych szans na przetrwanie: Europejki nie chcą przenosić się do namiotów na Saharę, z kolei koczownicy uciekają z wielkich miast. – Mężczyźni tuarescy, którzy spędzili pewien czas w Europie, tęsknią za przestrzenią, gwiazdami, które w nocy nad pustynią świecą tak jasno jak nigdzie indziej – opowiada badacz.

Niestety w zmieniającej się Afryce jest coraz mniej miejsca dla koczowników. Problemy z pracą, postęp cywilizacyjny, wzrastające zaludnienie oraz odkrycie bogatych złóż surowców naturalnych na terenach zamieszkiwanych przez Tuaregów i wynikające z tego konflikty, zmuszają ich do przenoszenia się do miast. – Już niedługo Tuaregowie będą tylko wspominać swe piękne tradycje. Już teraz zdarza mi się usłyszeć od nich „*Amrar* – to znaczy wodzu, mędrce – powiedz nam, jak w naszej tradycji wyglądało to czy tamto” – mówi ze smutkiem w głosie Rybiński. – Wspaniałej kultury tuareckiej już niedługo nie będzie. Dlatego teraz muszę się nimi nie tylko nacieszyć, ale też przekazać o nich jak najwięcej innym.

Wykorzystane fotografie pochodzą z wystawy „Tuaregowie z Mali i Nigru”, prezentowanej we wrześniu 2008 r. w Galerii Muzeum UW w Pałacu Kazimierzowskim.

Bibliografia: A. Rybiński: Tuaregowie z Sahary. Tradycyjna kultura Tuaregów Kel Ahaggar na przełomie XIX i XX wieku. Warszawa: Wydawnictwo Akademickie DIALOG, 1999. B. Hanecka-Wrzoś, Z. Komorowski, A. Rybiński: Ludy Afryki. Przegląd regionalny. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 1985.



Tuarecka kobieta grająca na tradycyjnym instrumencie *imzad*, fot. W. Rybiński

Zapach w japońskiej kulturze

IWONA KORDZIŃSKA-NAWROCKA



Nerikō – mieszanki zapachowe będące połączeniem różnych substancji pochodzenia roślinnego i zwierzęcego uformowane w małe, czarne kuleczki

Zapach fascynuje Japończyków od dawna. Pierwsze kompozycje zapachowe i kadzidła zostały sprowadzone do Japonii już w V w. wraz z innymi elementami chińskiej kultury. Rozpowszechnienie się buddyzmu w okresie Nara (VIII w.) wpłynęło również na wzrost popularności substancji aromatycznych. Początkowo drewnianka w postaci cienkich patyczków zapalało w świątyniach ofiarowując je Buddzie; później pojawiły się kadzidła będące mieszanką drzewa sandałowego, goździków, cynamonu oraz drzewa kamforowego, a liczba i rodzaj użytych składników ściśle zależały od szkoły buddyjskiej. Kuleczki zapachowe kładziono bezpośrednio na gorącym popiele otrzymanym z węgla drzewnego.

W okresie kultury dworskiej (VIII-XII w.) arystokracja zaczęła używać mieszanek zapachowych nie tylko w celach religijnych i obrzędowych, ale również na co dzień, podczas prywatnych i dworskich uroczystości. Uwielbiała również perfumować pomieszczenia w swoich rezydencjach, własne stroje i ciało. W powszechnym użyciu znalazły się specjalne piecyki *fusego*, które po rozpaleniu mieszanek zapachowej przykrywano szatą, aby nadać jej ulubiony zapach.

Zapach odzwierciedleniem osobowości

W okresie kultury dworskiej bezpośredni kontakt pomiędzy kobietą a mężczyzną, wskutek obowiązujących zwyczajów, był nie tylko ograniczony, lecz czasami wręcz niemożliwy. Kobieta i mężczyzna żyli w dwóch odrębnych światach i niewiele mieli okazji do spotkań, poza oficjalnymi świętami i uroczystościami dworskimi. Kobieta umiejętnie ukrywała się przed wzrokiem mężczyzny wykorzystując w tym celu wachlarze, parawany oraz zamknięte powozy. Ówczesne obyczaje i konwencje miłosne przyczyniły się więc do powstania innych niż język ciała form kokieterijnych rytuałów, a jedną z nich stał się zapach. Każdy arystokrata przygotowywał własne kompozycje zapachowe i używał ich do perfumowania korespondencji, wachlarzy czy szat wręczanych jako prezenty. Indywidualny zapach należał do ulubionych form autoprezentacji, ujawniając gust i usposobienie jego autora, był wyznac-

nikiem piękna i elegancji danej osoby, jak również środkiem umożliwiającym jej rozpoznanie. Książę *Genji*, tytułowy bohater powieści *Genji monogatari* (*Opowieść o księciu Genjim*), idealny kochanek biegły w *ars amandi*, artysta o szczególnej wrażliwości, wykazywał w tym względzie największe umiejętności.

W okresie dworskim przyrządzano pachnidła *nerikō* będące mieszanką różnorodnych składników, zarówno pochodzenia roślinnego, jak i zwierzęcego. Z substancji roślinnych wykorzystywano odmiany drzew zapachowych rosnące w Azji południowo-wschodniej, suszone liście, cebulki, pąki i płatki kwiatów. Szczególnie ceniono sosnę i kwiaty lilii. Jeśli chodzi o substancje pochodzenia zwierzęcego, to używano muszli małży i skorupiaków, oraz produktów bazowych, dobrze znanych we współczesnym przemyśle perfumeryjnym, a mianowicie ambry – substancji pozyskiwanej z wnętrza wieloryba oraz piżma-wydzieliny z gruczołów piżmowca (gatunek jelenia). Sztuka przygotowywania pachnidła stanowiła ściśle strzeżoną tajemnicę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Wszystkie użyte substancje najpierw suszono i mielono, następnie mieszano ze sobą dodając kleistego spoiwa, najczęściej miodu. Otrzymane pachnidło formowano w małe kuleczki, które wkładano do ceramicznego naczynia i zakopywano w ogrodzie na co najmniej dwa lata. Im dłużej naczynie pozostawało w ziemi, tym subtelniejszy był otrzymany zapach. Co ciekawe, do przygotowania pachnidła używano zawsze tych samych substancji – drzewa aloesowego, goździków, muszli, ambry, drzewa sandałowego i piżma. Oryginalność aromatu zależała od proporcji i odpowiedniej kolejności ich zmieszania, oraz tzw. dominanty zapachowej, czyli substancji dodanej w największej ilości.

Arystokraci używali przygotowanych przez siebie kompozycji nie tylko do perfumowania się, ale również wystawiali je na, ciesząc się dużą popularnością, turnieje zapachowe, podczas których wybierali te najpiękniejsze i najbardziej oryginalne. W księdze *Umegae* (Gałązka śliwy) *Genji monogatari* przedstawiony został turniej pachnidła urządzony z okazji uroczystości dojrzałości księżniczki Akashi, córki księcia Genji. W turnieju wystawiono mieszanek zapachowe symbolizujące określoną porę roku. *Wśród różnych, cudownych zapachów pachnidło zimowe „Czeri” damy Asagao uznane zostało za najlepsze, pełne wewnętrznej spokoju i harmonii. Najwspanialszy jesienny zapach „Ochmistrzyni”, przygotował, zdaniem sędziego, książę Genji. Jego aromat można było opisać słowami: wspaniały, elegancki, a przy tym łagodny. Spośród trzech pachnidła zaprezentowanych przez Murasaki no Ue, szczególnie jej wiosenna kompozycja „Śliwa” odznaczała się czystością i tchnęła nową nutą. Czuć było w niej oryginalność i niecodzienną zestawienie. – Nic bardziej nie pasuje do wiosennej bryzy jak zapach śliwy – skonstatował książę Hyōbu. (Genji monogatari, Murasaki Shikibu)*

Ceremonia zapachów *kōdō*

Pod koniec okresu Kamakura (XIV w.) *nerikō*, czyli kompozycje zapachowe, wyszły z mody. Samurajowie, dla których proces ich przygotowywania okazał się zbyt kłopotliwy i pracochłonny, powrócili do rozpalania kawałeczków drzew zawierających olejki eteryczne. Zaowocowało to powstaniem w XV w. nowej formy sztuki, a mianowicie ceremonii zapachów (*kōdō*). Do jej rozwoju przyczynił się przede wszystkim mecenas i znawca sztuki – szogun Ashikaga Yoshimasa (1436-1490), jak również mistrzowie z jego otoczenia, a mianowicie poeta i interpretator Sanjōnishi Sanetaka (1455-1537), oraz znawca pachnidła Shino Sōshin (1445-1523). Ten ostatni stał się protoplastą szkoły nazwanej od swego imienia *shinoryū*, reprezentującej surowy styl samurajski i kładącej nacisk na rygorystyczne zasady oraz rozwój duchowy.

Istota ceremonii uwidacznia się w czynności „wchania zapachów wszystkimi zmysłami”, jest zatem aktem smakowania i rozkoszowania się nimi. Warto podkreślić, że w języku japońskim, będący w powszechnym użyciu czasownik *kaqu* – „wachać”, nie pojawia się w kontekście ceremonii zapachów. Zamiast niego stosuje się słowo *kiku* (dosłownie „słuchać, przysłuchiwać się”), które wskazuje właśnie na smakowanie aromatów różnymi zmysłami, nie tylko powonieniem. Taki rodzaj doświadczenia wymaga od uczestników przede wszystkim koncen-

tracji i wyciszenia się. W dniu ceremonii powinno się zrezygnować z używania perfum, a i wszelkie infekcje katarowe stanowią poważną przeszkodę uniemożliwiającą prawidłowe odczuwanie zapachów.

W ceremonii *kôdô* istnieją dwa podstawowe sposoby obcowania z zapachem. Pierwszy polega na zapaleniu kadzidelka i rozkoszowaniu się jego aromatem, drugi natomiast przyjął postać zespołowej zabawy, w której rozpoznaje się spalane pachnidła. Ten rodzaj gry, nazywany *kumikô*, jest formą intelektualno-estetycznej rozrywki, w której biorą udział gospodarz, mistrz ceremonii oraz zaproszeni goście. Gospodarz przygotowuje zestaw starannie wybranych zapachów i nadaje zabawie tytuł. Inspirację stanowią dla niego znane poematy, motywy z klasycznych utworów literackich, miejsca słynące ze swego piękna oraz nazwy roślin czy pór roku. Liczba wszystkich zabaw, o różnym stopniu trudności, wynosi około 120. Gospodarz ma prawo zdecydować, jakie wybierze zapachy i w jakiej kolejności będą one spalane. Każdy uczestnik ceremonii powinien opanować jej podstawowe zasady, do których należą m.in.: rozróżnianie zapachów pochodzących od różnych gatunków drzew eterycznych, poznanie reguł poszczególnych rodzajów zabaw, umiejętność rozpalania węgla drzewnego czy prawidłowe posługiwanie się utensyliami.

Wybór określonych gatunków drzew do ceremonii odzwierciedla indywidualny charakter i upodobania jej organizatora oraz wskazuje na określony sposób interpretacji danej gry. Chociaż sama ceremonia jest produktem kultury japońskiej, to gatunki drzew w niej używane, pochodzą z różnych rejonów Azji Południowej. Aromatyczne drzewa, nazywane w języku japońskim *jinkô* czyli „zatapialne w wodzie”, oznaczają tylko te gatunki, które zawierają olejki eteryczne. Kolor *jinkô* jest zazwyczaj ciemno-brązowy lub czarny, a jego zapach w dużej mierze zależy od zawartości substancji olejstych oraz użytego fragmentu drzewa.

Ceremonia zapachów odbywa się w tradycyjnym japońskim pokoju, gdzie podłoga wyłożona jest ryżowymi matami *tatami*. Bierze w niej udział zazwyczaj dziesięciu uczestników – mistrz ceremonii, pisarz zapisujący wyniki zabawy i ośmiu zaproszonych gości. Najbardziej odpowiednim strojem na tę okazję jest tradycyjne kimono. Gospodarz i pisarz zajmują miejsca po lewej stronie, a przed alkową *tokonoma*, będącą centralną częścią pokoju, zasiada najważniejszy gość honorowy. Gospodarz wnosi pudełko z utensyliami, a pisarz drewniany stoliczek, na którym ustawia pudełeczko z przyborami do pisania – kałamarzem, piórem oraz japońskim papierem czerpanym *washi*. Każdy z uczestników otrzymuje własne pudełeczko z piórem i tuszem do zapisania wyniku. Gospodarz wita się z gośćmi, przedstawia nazwę zabawy i objaśnia jej reguły. Pisarz w tym czasie zapisuje datę, tytuł zabawy, liczbę i rodzaj użytych zapachów, imiona uczestników, a po koniec również ich wyniki.

W *Genjikô* (gra związana z *Genji monogatari*) – jednej z najbardziej znanych i zarazem najbardziej popularnych zabaw zapachowych, używa się pięciu rodzajów zapachów, po pięć próbek z każdego. Wszystkie kawałeczki drzew, a jest ich razem dwadzieścia pięć sztuk, zawinięte są w biały papier. Gospodarz miesza je w torebce i wylosowuje pięć, odstawiając pozostałe dwadzieścia na bok. Każdy z uczestników podpisuje kartkę swoim imieniem i zaznacza na niej pięć pionowych kreseczek, które odpowiadają użytym w ceremonii pięciu zapachom. Następnie gospodarz zapala drewnienka w specjalnych ceramicznych kubeczkach a goście wachają je po kolei. Zapachy trzeba nie tylko umieć rozróżnić, ale i zapamiętać, bowiem dopiero pod koniec całej ceremonii można zapisać wyniki. Na karteczce każdy z uczestników oznacza je w ten sposób, że jeśli zapachy się powtórzyły, łączy się ze sobą odpowiednie pionowe kreseczki, natomiast jeśli były różne pozostawia je bez połączeń. Ważny jest nie tyle sam rodzaj zapachów, ile kolejność ich występowania. Istnieją



Rozwiązania ceremonii zapachów *Genjikô* przygotowane są w postaci ozdobnych książek nawiązujących do utworu

pięćdziesiąt dwa możliwe rozwiązania tej zabawy, a ponieważ utwór *Genji monogatari* liczy pięćdziesiąt cztery księgi, odrzucono pierwszą i ostatnią, a pozostałe pięćdziesiąt dwie stanowią nazwy poszczególnych rozwiązań. Jeżeli gość odgadł wszystkie pięć zapachów, jego wynik oznacza się znakiem *gyoku*, czyli klejnot. Nazwa ta nawiązuje do epitetu księcia *Genji* wskazującego na jego idealną urodę i charakter. Oczywiście błędne rozwiązanie nie powinno być powodem do rozczarowania, ponieważ istotą gry jest obcowanie z pięknymi aromatami.



Tradycyjny japoński pokój, w którym odbywa się ceremonia zapachów. Po lewej stronie zasiada gospodarz ceremonii, a z przodu uczestnicy

Dr Iwona Kordzińska-Nawrocka jest adiunktem w Zakładzie Japonistyki i Koreanistyki UW. Tekst pochodzi z konferencji „Dziesięć wieków *Genji monogatari* w kulturze Japonii, 1008–2008”, która odbyła się w październiku, w ramach corocznych Dni Japonii na Uniwersytecie Warszawskim. W konferencji wzięli udział naukowcy ze wszystkich ośrodków japonistycznych w Polsce oraz wybitni specjaliści z Japonii. Sesjom naukowym towarzyszyła wystawa „Japońska kultura dworska VIII–XII w.”, pierwszy w Polsce pokaz filmu *Opowieść o księciu Genjim* – wieczna miłość w reżyserii Horikawy Tonkô oraz prezentacja wielobarwnych strojów dworskich *jūnihitoe*, pochodzących ze świątyni Nishinomiya w Japonii. W ramach Dni Japonii odbył się również koncert *Sześć pieśni dziecięcych* (kompozytor Nakada Yoshinao, 1923–2000).

Poligon dla archeologów

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA

Miejsce wybrane nieprzypadkowo

Stanowisko archeologiczne Nowy Łowicz, leżące w samym sercu Pojezierza Pomorskiego, jest jednym z licznych nadbałtyckich obszarów cieszących się zainteresowaniem naukowców. Pod wieloma względami jest to jednak miejsce wyjątkowe. Malowniczo usytuowane na najwyższym w okolicy wyniesieniu, bezpośrednio przy dolinie rzeki Drawa, nie zostało przez swoich starożytnych mieszkańców wybrane przypadkowo, jak przekonuje dr Adam Cieśliński z Instytutu Archeologii UW, kierujący badaniami w Nowym Łowiczu od 2002 r. Teren kryje w sobie ślady osadnictwa z epoki kamienia i brązu oraz najistotniejsze znalezisko – cmentarzysko kurhanowe z okresu wpływów rzymskich założone przez ludność kultury wielbarskiej, zamieszkującą tereny Pomorza od I do połowy III w. n.e.

Usypywanie kurhanów, kryjących szczątki oraz przedmioty związane z rytuałem pogrzebowym, było typowe dla rozmaitych ludów, żyjących na przestrzeni wieków. Do dzisiaj praktykowane jest przez mieszkańców dalekiego Wschodu. Cmentarzysko w Nowym Łowiczu jest największym tego typu obiektem w południowej strefie Bałtyku, świetnie zachowanym a jednocześnie do lat 80. XX w. prawie nieznanym. Dobry stan nekropolii wynika z korzystnego położenia – w wielkim kompleksie leśnym, gdzie nie

groziły jej zniszczenia typowe dla terenów odlesionych, przeznaczanych pod uprawy. Ponadto większość pomorskich cmentarzysk znana była już w XIX w., w dobie silnego zainteresowania amatorów archeologią. Wiele z nich zostało wtedy w dużym stopniu rozkopanych, w Nowym Łowiczu taki los spotkał wówczas jedynie 3 spośród 68 kurhanów.

– W archeologii najczęściej nie rozpoznajemy całych obiektów – osad czy cmentarzysk – wyjaśnia dr Cieśliński. Wykopaliszka w Nowym Łowiczu rozpoczęły się 20 lat temu; przez ten czas udało się poznać 80 procent obiektu. Jest szansa, że zostanie on rozpoznany w całości. Dla naukowców to niezwykle ważne: – Wówczas wiemy, że nasze opracowanie naukowe oparte jest na pełnej, a nie wyrywkowej, bazie źródłowej – podkreśla naukowiec. Ma to ogromne znaczenie np. dla metod statystycznych, często stosowanych w archeologii. Jeśli nie jest znana pełna baza źródłowa, statystyka zawsze jest zaburzona. Ważny jest także fakt, że cmentarzysko było użytkowane krótko, tj. od połowy II do pierwszej połowy III w. n.e. Analizy archeologów będą więc dotyczyć bardzo zwanego zespołu.

Gdy wojsko kończy strzelać

Wymienione elementy wystarczyłyby, aby stanowisko w Nowym Łowiczu zasłużyło sobie na miano wyjątkowego. Pełny obraz

jest jednak jeszcze bardziej zadziwiający. Starożytne cmentarzysko znajduje się bowiem na terenie, założonego w 1946 r., poligonu wojskowego, ściśle strzeżonego i niedostępnego dla cywilów. Na jego terenie odbywały się w przeszłości największe ćwiczenia wojsk Układu Warszawskiego. Od 1996 r. poligon gościł niejednokrotnie jednostki wojskowe państw NATO. Cywili próbujących dostać się na obszar Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych „Drawsko Pomorskie”, jak brzmi oficjalna nazwa poligonu, wita tabliczka: „Teren wojskowy. Wstęp wzbroniony. Wejście grozi śmiercią”. Dlaczego więc archeolodzy traktowani są przez dowództwo poligonu jak stali bywalcy?

Pod koniec XIX w. właścicielka majątku Nowy Łowicz, Anna Sylwia von Wangenheim rozkopała amatorsko trzy kurhany, na które natrafili jej pracownicy podczas rutynowych prac leśnych. Wyniki jej badań zostały opisane w miesięczniku Pomorskiego Towarzystwa Historyczno-Starożytniczego. Po II wojnie światowej archeolodzy byli bardzo ciekawi, czy obiekt nadal istnieje, jednak teren należał już wtedy do wojska. – Legenda mówi, że jeden z najwybitniejszych badaczy Pomorza, dr Ryszard Wołagiewicz z Muzeum Narodowego w Szczecinie, podczas swoich wypraw kajakowych Drawą nielegalnie wpływał na tereny poligonu i ponownie zlokalizował cmentarzysko – opowiada dr Cieśliński. Następnie namówił swoją koleżankę i uczennicę, Krystynę Hahułę z Muzeum w Koszalinie, żeby spróbowała uzyskać od wojska zgodę na zinventaryzowanie kurhanów, a może nawet rozpoczęcie badań. Pertraktacje z wojskiem trwały dwa lata, w 1988 r. archeolodzy po raz pierwszy weszli na teren poligonu. Mimo braku zgody władz centralnych, dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego, gen. Marian Sobolewski uznał, że naukowcom należy pomóc. – Generał, będący osobą niezwykle otwartą na historię i badania naukowe, rozumiał potrzebę przeprowadzenia wykopaliisk – tłumaczy zachowanie wojskowego dr Cieśliński.

Do 2001 r. badaniami w Nowym Łowiczu kierowała Krystyna Hahuła, która wypracowała niezwykle pozytywne relacje z wojskiem, procentujące do dnia dzisiejszego. W 2002 r. projekt przejął dr Cieśliński, wraz mgr. Andrzejem Kasprzakiem z Muzeum w Koszalinie. Wykopaliszka, mimo zmieniającego się dowództwa poligonu, wciąż spotykają się z pełnym zrozumieniem wojskowych. – Dzięki uprzejmości wojska często pracujemy wspólnie, nawet w trakcie prowadzenia manewrów. Gdy żołnierze kończą strzelać, my dostajemy telefon: „Możecie wjeżdżać!” – opowiada dr Cieśliński. – Wojsko wspierając nasze badania przyczynia się do ochrony polskich dóbr kultury – podkreśla archeolog.

Choć cmentarzysko nie znajduje się w centralnej części poligonu, tylko w koronie oddzielającym miejsce manewrów od terenu cywilnego, czasem bywa narażone na nietypowe niebezpieczeństwa. – Jeden z kur-



Kolia paciorków szklanych i bursztynowych z jednego z grobów kobiecych. Paciorki szklane były importowane z terenu Cesarstwa Rzymskiego, paciorki bursztynowe wykonywano na miejscu. II w. po Chr., fot. J. Strobin



Archeolodzy wraz z saperami Brytyjskich Sił Zbrojnych pomagającymi podczas prac wykopaliskowych, fot. A. Cieśliński

hanów został rozjechany przez angielski czołg – wspomina dr Cieśliński. Z drugiej jednak strony położenie na terenie wojskowym stanowi dla cmentarzyska ochronę. Zakaz wstępu dla ludności cywilnej, mimo iż często łamany przez miejscowych, ograniczył zniszczenia. Jednocześnie badania archeologów zmierzają niejako do udostępnienia terenu do działań wojskowych. Po zakończeniu wykopalisk obszar będzie można dowolnie zagospodarować. Kształt cmentarzyska został już w dużym stopniu zmieniony, naukowcy starają się jednak zrekonstruować nasypy. – Prowadząc badania archeologiczne bezpowrotnie niszczymy źródła, po ich zakończeniu kurhany oraz groby przestają istnieć. Najważniejszą rolą archeologa jest wykonanie poprawnej dokumentacji, przy wykorzystaniu metodyki oraz zdobyczy techniki dostępnych na dzień dzisiejszy. Staramy się jednak zachować charakter miejsca poprzez usypywanie rekonstrukcji mogił – wyjaśnia dr Cieśliński.

Prowadząc od 20 lat badania na terenie Nowego Łowicza, archeolodzy żyli się nie tylko z wojskiem i leśnikami (z którymi również współpracują), ale i z miejscową ludnością. Często organizują wykłady i opowiadają o wykopaliskach. – Misją archeologa jest nie tylko ratowanie relikwii przeszłości i ich naukowe opracowywanie. Powinniśmy też zarażać wszystkich wokół naszą pasją. Wiemy, że jest mnóstwo osób, zainteresowanych historią i prehistorią swojej małej ojczyzny – podkreśla naukowiec.

Archeologiczne sztuczki

Do dziś archeologom udało się zbadać 56 z 68 kurhanów, zajmujących obszar około 2 hektarów. Odkryli pod nimi ponad 230 gro-

bów. Największe nasypy mają 20 m średnicy i 3 m wysokości. Rozkopując całe cmentarzysko archeolodzy uzyskują informacje nie tylko o rytuałach pogrzebowych, ale również o systemie rodzinnorodowym i hierarchii społecznej starożytnych mieszkańców Nowego Łowicza. Ich ceremoniał pogrzebowy był niezwykle różnorodny. Cmentarzysko miało charakter brytualny tzn., że zmarłych chowano w obrządku szkieletowym i ciałopalnym (w grobach jamowych lub popielnicowych). Groby sytuowano głównie pod nasypami kurhanów lub pomiędzy nimi. Poszczególne pochówki różniły się wyposażeniem. – Niezwykła różnorodność zwyczajów pogrzebowych oznacza, że mamy do czynienia z niejednorodną grupą ludzką, która składała się z mniejszych rodzin lub rodów o różnych tradycjach pogrzebowych – podsumowuje dr Cieśliński.

Metodyka badań kurhanów polega na czytaniu z przekroju nasypów. Dla postronnych obserwatorów różnokolorowe warstwy ziemi znaczą niewiele, dla archeologów są źródłem wiedzy o historii kurhanu i rodziny, której członkowie są w nim pochowani. Z powodu kwaśności gleby naukowcy nie natrafiają zbyt często na szkielety zmarłych złożonych bezpośrednio do ziemi; stosunkowo dobrze zachowują się natomiast szczątki przepalone wcześniej w ogniu stosu ciałopalnego. Z barwnych plam i linii przecinających glebę archeolodzy potrafią odczytać wiele szczegółów, nie tylko czy w grobie pochowano osobę dorosłą czy dziecko, ale nawet czy obiekt został jeszcze w starożytności splądrowany przez szajkę złodziei.

Praca archeologów jest niezwykle żmudna. – Tony ziemi trzeba przerzucić ręcznie. Tego niestety nie da się zrobić koparką, bo stracili-

byśmy cały szereg ważnych obserwacji – opowiada dr Cieśliński. Nowy Łowicz sownie im to jednak wynagradza. – Odnaleziono źródła nie tylko dużo mówią, ale są też niezwykle efektowne, co się dobrze sprzedaje przy popularyzacji archeologii – podkreśla naukowiec. Archeolodzy znajdują setki różnorodnych zabytków, świadczących o bardzo wysokim stopniu rozwoju społeczeństwa, m.in. liczne przykłady biżuterii – szklanych i bursztynowych paciorków, a także mniejszych obiektów wykonanych z metali szlachetnych. Na zorganizowanej niedawno wystawie „Biżuteria Gotów”, obiekty z Nowego Łowicza były prawdziwymi perełkami.

Materiały wykopane przez archeologów służą do rozmaitych badań z zakresu nauk pomocniczych. Materiał kostny opracowywany jest antropologicznie. Fragmenty tkanin, odnajdywane przy metalowych częściach stroju, pozwalają specjalistom ustalić, czy miejscowa ludność miała kontakty handlowe z terenem Cesarstwa Rzymskiego lub Skandynawii. Bada się też makroszczątki roślinne, pozostałości węgli drzewnych ze stosów ciałopalnych. Naukowcy chcą zrekonstruować środowisko (klimat oraz szatę roślinną) z początków naszej ery. – Wokół Nowego Łowicza powstał zespół ludzi o różnorodnych zainteresowaniach, którzy na bazie wykopalisk archeologów mogą prowadzić własne badania naukowe – podkreśla dr Cieśliński.

Przewidywanie daty zakończenia wykopalisk jest, ze względu na konieczność dostosowania się do kalendarza wojskowego, niezwykle trudne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze to w przeciągu pięciu, siedmiu lat archeolodzy mogą liczyć na zbadanie całego cmentarzyska. Naukowe opracowanie wszystkich źródeł zajmie kolejne dziesięć lat. – Cmentarzysko to jednak nie wszystko, co nam się marzy. Było ono miejscem pochówku zmarłych i kultowym centrum dla całej wspólnoty, ale przecież ta wspólnota musiała gdzieś mieszkać. Chcielibyśmy mieć tzw. pełny kompleks osadniczy, tylko że osady nie pozostawiają po sobie żadnych widocznych śladów w terenie – tłumaczy archeolog. Żeby znaleźć taki obiekt, trzeba wykonać kilka wykopów sondazowych. – Jeśli uda nam się zlokalizować osadę to bardzo chętnie zostaniemy na tym terenie dłużej – dodaje. A przecież ślady kultury wielbarskiej to nie wszystko. Nowy Łowicz jest obiektem wielokulturowym i wielofazowym. Już dziś naukowcy odnajdują o 1000 lat starsze fragmenty ceramiki z epoki brązu oraz narzędzia pochodzące ze schyłku starszej epoki kamienia. Współpraca archeologów i wojska, trwająca dwie dekady, może zatem potrwać jeszcze wiele kolejnych lat, z korzyścią dla kolejnych pokoleń naukowców. – To jest nie tylko poligon wojskowy, ale także poligon dla młodych adeptów archeologii, dla studentów i młodych absolwentów. Przyjeżdżają na to stanowisko, żeby na przykładzie tak wyjątkowego i niezwykle różnorodnego obiektu uczyć się i nabierać doświadczenia – zaznacza dr Cieśliński.

Szlachetny – nieszlachetny – czyli co chemik robi z helem

JUSTYNA JASIEWICZ-HALL



Dr hab. Wojciech Grochala, fot. LTNMF

Dr hab. Wojciech Grochala z Laboratorium Nowych Technologii Materiałów Funkcjonalnych (ICM oraz Wydział Chemii UW), zaprojektował dwa związki helu, których cząsteczki są elektrycznie obojętne. Jeśli teraz uda się zsyntetyzować te związki, być może dojdzie od obalenia paradygmatu 'szlachetności' helu.

Hel jest jednym ze 117 znanych dziś pierwiastków chemicznych. W układzie okresowym zajmuje drugie miejsce, co oznacza że ma najmniejszą masę atomową spośród wszystkich znanych pierwiastków poza wodorem. – Hel jest za to najmniejszym znanym obecnie atomem. Jeśli za pomocą magicznej lupy powiększymy go miliard razy, otrzymamy obiekt wielkości moreli, o średnicy zaledwie 6 cm. Atom helu przypomina małą kuleczkę, która potrafi sprężysto odbijać się od wszelkich obiektów. Także od innych atomów helu. Dlatego tak trudno się skrapla – dopiero w temperaturze prawie -270°C zmienia się w ciecz. W takiej postaci jest używany jako doskonałe, choć bardzo drogie, chłodziwo – tłumaczy Wojciech Grochala. Z kolei przed skropleniem jest gazowym odpowiednikiem metra z Sèvres: doskonałym wzorcem ciśnienia i ściśłości. – Ale hel, poza swoimi wieloma zaletami, jest dość uparty i nie chce łączyć się z innymi pierwiastkami – opowiada badacz. – Dlatego właśnie został uznany za gaz szlachetny. Można nawet powiedzieć, że najbardziej szlachetny ze szlachetnych.

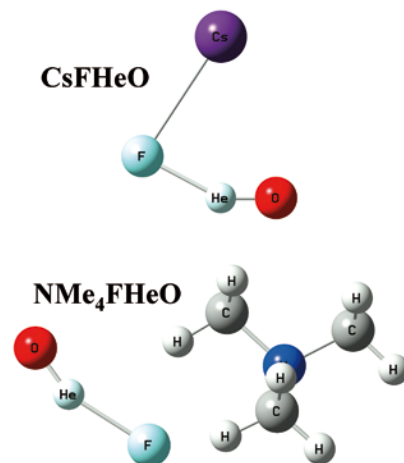
Do grupy gazów szlachetnych zalicza się hel, neon, argon, krypton, ksenon i radon. Jedną z podstawowych własności najbliższych

spośród tych pierwiastków jest to, że w zasadzie nie reagują z innymi. Powszechnie uznaje się, że dwa pierwsze nie wchodzi w żadne reakcje, argon zaś reaguje jedynie w bardzo niskich temperaturach, a powstałe w ten sposób związki natychmiast rozpadają się w temperaturze pokojowej. Prace nad wiązaniem gazów szlachetnych z innymi pierwiastkami cały czas trwają. Jednym z ich wyników jest to, że łatwo zachęcić taki gaz do reakcji syntezy, gdy atomy gazu naładuje się elektrycznie dodatnio. – Od dawna znane są trwałe kationy helu, np. HeH^+ . Jednak zawarty dawno konsensus środowiska chemików mówi, że aby uznać jakiś związek za „prawdziwy” musi być obojętny elektrycznie. To znaczy, że kationy i aniony, czyli obiekty naładowane dodatnio lub ujemnie, od razu wypadają z gry – tłumaczy chemik.

Naukowiec opracował modele dwóch cząsteczek, które zawierają atomy helu i jednocześnie są elektrycznie obojętne. Te cząsteczki to: CsFHeO i NMe_4FHeO . – Najpierw powstały w mojej głowie, później w trzewiach superkomputerów ICM – żartuje badacz. – Ze swoich wcześniejszych badań oraz z literatury wiedziałem, że anion $[\text{F-HeO}]$ powinien wykazywać anomalaną trwałość. Postanowiłem zatem doczepić do niego bardzo słabo koordynujące kationy, to znaczy takie, które nie będą usiłowały zbyt mocno naruszyć jego struktury poprzez odwracanie anionu fluorkowego. Jednym z tych kationów jest wielki nieorganiczny kation ceszu (Cs^+), drugim jeszcze większy i dobrze znany organiczny kation tetrametyloammonowy (NMe_4^+) – wymienia jednym tchem. – W tej chwili, dzięki możliwościom, jakie daje modelowanie komputerowe, łatwo można też zaproponować kolejne cząsteczki. Jak się wydaje, zaprojektowane przez Grochalę cząsteczki będą się również charakteryzować tzw. trwałością kinetyczną, metatrwałością. Oznacza to, że w odpowiednio niskiej temperaturze, będą jakby zamrożone, czyli nie będą „szukać” dla siebie innego, korzystniejszego stanu energetycznego. – Metatrwa-

łą np. hałdy węgla kamiennego zalegające bez samozapłonu w powietrzu atmosferycznym i takie właśnie powinny być również obie cząsteczki. Jednak w zbyt wysokiej temperaturze, np. -100°C , nasi bohaterowie znikną bez śladu – tłumaczy chemik. Cząsteczki te, podobnie jak inne związki gazów szlachetnych mogłyby powstać wyłącznie w niskich temperaturach, czyli co najwyżej przy -250°C .

Teraz eksperymenciści mają przed sobą najtrudniejszy etap prac: syntezę związków. Jak mówi sam badacz, można próbować zsyntetyzować je z odpowiednich podfluorynów, CsOF i NMe_4OF , umieszczonych w ultrazimnej kropli helowej. Układ taki trzeba poddać wzbudzeniu laserowemu tak, by rozewrzeć nietypowe wiązanie chemiczne O-F i dokonać, jak to się mówi w chemii insercji atomu helu w to wiązanie. Tyle teoria. – W praktyce na upragniony produkt czyha wiele niebezpieczeństw. Poza tym nie każdą reakcję, którą łatwo zapisać na papierze, równie łatwo można przeprowadzić w laboratorium – mówi badacz.



Jeśli badania się powiodą i związki opracowane przez Grochalę zostaną zsyntetyzowane, przełamany zostanie paradygmat szlachetności najbliższego z gazów szlachetnych. Wtedy odpowiedź na pytanie: „czy hel jest gazem szlachetnym”, nie będzie już taka prosta.

Współpraca: Wojciech Grochala

Welcome Gierek?

Czy mechanizmy pamięci kolektywnej opisywane przez psychologię społeczną mogą wyjaśnić niektóre aspekty nostalgii za „dawnymi dobrymi czasami” okresu komunistycznego w Polsce?

MONIKA PRUSIK

Jak pokazuje sondaż przeprowadzony w 2004 r. przez „Gazetę Wyborczą”, Radio Zet oraz telewizję TVN, ponad połowa Polaków uznaje Edwarda Gierka za najlepszego polskiego przywódcę powojennej Polski. Pokonał on w rankingu m.in. Lecha Wałęsę oraz Aleksandra Kwaśniewskiego. Nostalgia za PRL-em wykracza poza „uwielbienie” dla byłego I sekretarza i jest obecna w codziennym życiu Polaków. Niezwykłą popularnością cieszą się wszelkie przedsięwzięcia odwołujące się do okresu Polski Ludowej. Wysoką oglądalność notują programy telewizyjne, takie jak np. „300% normy” czy „Legendy PRL-u” oraz filmy, przede wszystkim komediowe, dotyczące tamtego okresu. Z dużym zainteresowaniem spotykają się wystawy i inne działania artystyczne (np. słynna już wystawa Zachęty), muzea internetowe (np. Muzeum Polski Ludowej, Muzeum Dobranoczek PRL-u, E-muzeum Polski Ludowej) oraz wszelkie publikacje dotyczące PRL. Kluby i kawiarnie z socjorealistycznym wystrojem oraz wycieczki w samochodach z epoki po miejscach charakterystycznych dla PRL-owskiej rzeczywistości także znajdują wielu amatorów.

Symptomy tęsknoty za PRL-em obecne są także w wynikach badań opinii publicznej. Według danych zaczerpniętych z Polskich Generalnych Sondaży Społecznych 1992-2005¹ znaczący odsetek obywateli sądzi, że zmiany po roku 1989 przyniosły Polsce więcej strat niż korzyści (odpowiednio dla kolejnych lat pomiaru: 1997 – 22.6%, 1999 – 32.4%, 2002 – 44.4%, 2005 – 33%) lub same straty (1997 – 3%, 1999 – 4.3%, 2002 – 7.2%, 2005 – 7%). Wielu naszych rodaków uważa też, że przemiany te oznaczały

dla nich samych i ich gospodarstw domowych więcej strat niż korzyści (1997 – 22.7%, 1999 – 29.6%, 2002 – 35.2%, 2005 – 27.4%) lub same straty (1997 – 4.2%, 1999 – 6.1%, 2002 – 7.9%, 2005 – 7.3%). Na uwagę zasługuje również fakt, że wielu Polaków przyjmuje postawę dość „ostrożną” utrzymując, że zmiany transformacyjne przyniosły tyle samo korzyści, co strat lub że nie mają zdania na ten temat.

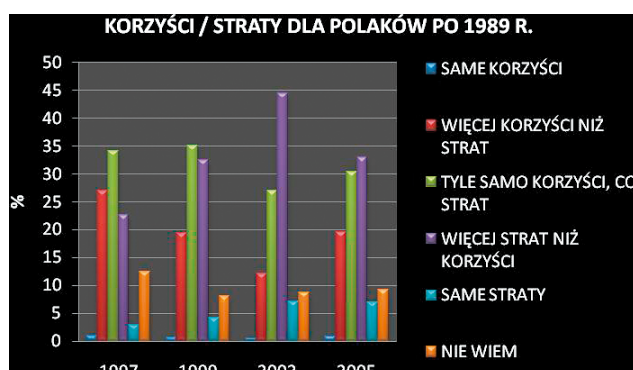
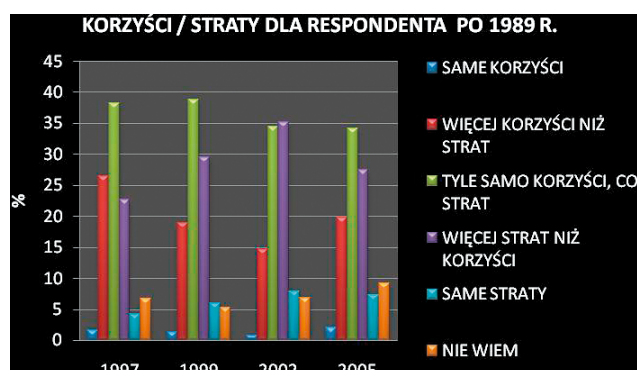
Według badań prof. Marii Lewickiej z 2003 r. przeprowadzonych na ziemiach wschodnich i zachodnich, znaczna część Polaków, uważa, że przed 1989 r. ich sytuacja przedstawiała się lepiej – byli bardziej zadowoleni ze swojej pracy (65.4%), rodziny (38.4%), zdrowia (60.6%), finansów (60.8%), samopoczucia (54.9%) oraz przyjaźni (40%). Jednocześnie pytani o swoje obecne położenie, oceniają je bardzo dobrze, dobrze lub raczej dobrze (praca – 53.4%, rodzina – 79%, zdrowie – 56.3%, finanse – 53.1%, przyjaźń – 81.2%, samopoczucie – 65.3%). Warto zaznaczyć, że poziom nostalgii za PRL-em zależy od szeregu czynników społeczno-politycznych, takich jak wykształcenie, wiek, wielkość miejsca zamieszkania oraz stosunek do demokracji. W literaturze przedmiotu spotkany jest często podział na tych, którzy „przegrali” oraz tych, którzy „zyskali”. Podkreślana jest także różna zdolność adaptacyjna poszczególnych grup społecznych do przemiany systemowej.

Przegląd badań oraz obserwacja życia społecznego w kraju zmuszają do postawienia kluczowego pytania – co skłania Polaków do tęsknoty za okresem, który charakteryzował się m.in. pauperyzacją społeczeństwa oraz

brakiem wolności społecznej i politycznej? Wydaje się, że Polacy znacznie lepiej pamiętają pozytywne aspekty życia w komunistycznej Polsce. Sugeruje to zaistnienie biasów pamięciowych, dotyczących pamięci kształtowanej społecznie – kolektywnej. Zrozumienie nostalgii za PRL-em wymaga więc nie tylko zrozumienia czynników ekonomiczno-społecznych; konieczna jest też analiza mechanizmów pamięci kolektywnej. Szczególnie ciekawe w tym względzie wydają się badania amerykańskich uczonych Jamesa Pennebaker i Becky Banasik, które doprowadziły do sformułowania 3 hipotez: hipotezy okresu krytycznego, hipotezy generacyjnych zasobów oraz hipotezy dystansu psychologicznego.

Według hipotezy okresu krytycznego (*The Critical Period Hypothesis*) narodowe wydarzenia mają większy wpływ na pamięć ludzi w określonym wieku, szczególnie między 12. a 25. rokiem życia. Z kolei według badań amerykańskiego psychologa Erika Eriksona, w okresie między 12. a 19. rokiem życia kształtowana jest nasza tożsamość; wydarzenia, których osoba wtedy doświadcza, mogą okazać się najbardziej znaczące dla jej rozwoju. Rozpatrywany okres krytyczny charakteryzuje się więc wzmoczoną aktywnością społeczną i służy kształtowaniu tożsamości. Ludzie wykazują tendencję do spontanicznego przywoływania wspomnień z okresu, gdy mieli od 12 do 25 lat.

Zgodnie z hipotezą okresów krytycznych, Polacy pytani o ocenę przeszłości PRL-owskiej przywoływaliby spontanicznie okres między 12. a 25. rokiem życia. Oceniany byłby on dodatnio, a co więcej mógłby się przekładać na pozytywne postrzeganie przeszłości całej



Polskie Generalne Sondaże Społeczne: skumulowany komputerowy zbiór danych 1992-2005, ISS UW

Polski Ludowej. Efekt nostalgii za komunizmem byłby prawdopodobnie największy u osób, u których okres krytyczny przypadał na czas „gierkowskiej prosperity”, czyli obecnych 55-latków. Przewidywane oceny generowane byłyby z dwóch powodów. Po pierwsze, okres „gierkowski” był dla 55-latków czasem kształtowania się ich tożsamości, czyli okresem przywoływanym spontanicznie i ocenianym pozytywnie. Po drugie, okres rządów Gierka zapisał się w świadomości Polaków jako „najlżejszy” i najbardziej dostatni w całym okresie PRL-u. Osoby 55-lacie wykazywać więc będą, z dużym prawdopodobieństwem, większą tęsknotę za PRL-em niż 65-latkowie, dla których okres krytyczny przypada na biedne lata „gomul-kowskie”. Prawdopodobne jest również, że najniższą nostalgię za komunizmem odczuwać będą (w porównaniu do 55- i 65-latków) osoby 75-lacie, których okres kształtowania się tożsamości przypadał na okres „stalinowski”.

Według hipotezy generacyjnych zasobów, fakty ważne dla danego narodu są przypominane w momencie, gdy ludzie posiadają odpowiednie zasoby ekonomiczne, społeczne oraz polityczne. Mniej więcej 25 lat po określonych wydarzeniach, grupa społeczna, która została przez nie doświadczona i której członkowie są obecnie w wieku powyżej 40. roku życia, znajduje się w sytuacji umożliwiającej ich ocenę. Większe zainteresowanie przeszłością przejawia się podejmowaniem badań naukowych, przygotowywaniem publikacji oraz filmów dotyczących historii oraz chęcią upamiętnienia wybranych wydarzeń np. w formie pomników. Zgodne jest to także z wynikami badań Eriksona, według których ludzie powyżej 40. roku życia są bardziej skłonni do patrzenia wstecz i podsumowywania swojego życia.

Hipoteza dystansu psychologicznego zakłada natomiast, że do rozpatrywania przeszłości potrzebny jest właściwy klimat psychologiczny. Tuż po wystąpieniu traumatycznego bądź trudnego wydarzenia, silna jest skłonność do dystansowania się od zaistniałych wypadków. Wraz z upływem czasu chęć do spoglądania wstecz i rozliczenia przeszłości wzrasta. Z czasem ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę, jak przeszłe wydarzenia wpłynęły na życie ich oraz całego społeczeństwa. Ostatnią implikacją tego procesu jest wypracowanie przez społeczeństwo konsensusu, co do przeszłych wydarzeń i tego, jak powinny być zapisane w pamięci kolektywnej narodu.

Dwie opisane powyżej hipotezy mogą być pomocne w zrozumieniu dynamiki nostalgii za PRL-em. Wyjaśniają także, dlaczego Polacy są obecnie tak bardzo zorientowani na przeszłość komunistyczną, w przeciwieństwie do okresu zaraz po zmianie systemu. Dlaczego właśnie teraz zaczynają podsumowywać przeszłość, szukać winnych i zastanawiać się komu postawić pomnik. Grupa, która została doświadczona przez komunizm, posiada obecnie wystarczające zasoby ekonomiczne, wolność polityczną i spo-

łeczną, które to czynniki umożliwiają jej podsumowywanie przeszłych wydarzeń.

Pamięć kolektywna na temat PRL-owskiej przeszłości nie została jeszcze uformowana. Biorąc pod uwagę prezentowane hipotezy, proces ten jest w toku a zainteresowanie rozliczeniem przeszłości będzie nadal wzrastało. Potwierdzeniem takiego stanu rzeczy są liczne debaty publiczne i publikacje dotyczące rozpatrywanego okresu, cieszące się niezwykłą popularnością.

Jedną z najważniejszych funkcji pamięci kolektywnej jest kreowanie grupowej tożsamości. Wspomnienia są modyfikowane w taki sposób, by stworzyć pożądany, zazwyczaj pozytywny, wizerunek grupy. Dwaj amerykańscy psychologowie, Roy Baumeister i Stephen Hastings, zaprezentowali w publikacji „Kolektywna pamięć politycznych wydarzeń” siedem możliwych mechanizmów zniekształcania pamięci kolektywnej, które mogą mieć wpływ na sposób, w jaki ludzie pamiętają i oceniają przeszłe wydarzenia. Analiza ich funkcjonowania może być użyteczna dla wyjaśnienia polskiej nostalgii za komunizmem, a także zrozumienia przyczyn idealizowania przeszłości i patrzenia na nią „przez różowe okulary” (efekt „rosy view”).

W czasie PRL-u Polacy dopuszczali się zachowań, które obecnie mogłyby zostać ocenione jako nielegalne lub niemoralne. Jednocześnie mają dzisiaj skłonność do zniekształcania swoich wspomnień, aby uniknąć negatywnej oceny. Łatwo sobie wyobrazić, że ludzie, którzy np. wynosili z miejsca pracy różne dobra (co było dosyć powszechnym zachowaniem w PRL-u) pominą takie postępowanie w swoich relacjach dotyczących przeszłości. Inne zachowania, jak kupowanie dolarów amerykańskich na czarnym rynku, nielegalne dokupowanie kartek żywnościowych, przemyt czy nawet donoszenie na przyjaciół lub rodzinę, z dużym prawdopodobieństwem także zostaną pominięte. Mechanizm ten został określony mianem „selektywnego pomijania” („selective omission”).

Innym sposobem na radzenie sobie z niewygodnymi wspomnieniami może być stosowanie różnych atrybucji przyczynowych. Polacy, którzy podejmowali nielegalne działania, mogą obecnie twierdzić, że zmusiła ich do tego sytuacja (mechanizm „obwiniana okoliczności”

– „blaming the circumstances”) lub przenieść odpowiedzialność na innych – komunistyczny rząd czy Moskwę (mechanizm „obwiniania wroga” – „blaming the enemy”). Odpowiedzialność ulega wtedy rozproszeniu.

Prawdopodobnie jednym z częściej stosowanych mechanizmów jest „wyolbrzymianie i koloryzowanie” („exaggeration and embellishment”). Słuchając opowieści o życiu w PRL-u można odnieść wrażenie, że ludziom żyło się wtedy lepiej, byli szczęśliwsi, mogli pozwolić sobie na więcej dóbr itp. Wysiłki zmierzające do utrzymania pozytywnego wizerunku mogą osiągnąć poziom kreowania fałszywych wspomnień („fabrication”). Przykładem skuteczności mechanizmu fabrykowania może być fakt, jak wiele osób twierdzi obecnie, że było aktywnymi członkami Solidarności i jak wielu zaprzecza rolę przynależności do PZPR.

Istotną rolę może odgrywać także mechanizm „łączenia i rozdzielania” („linking versus detaching”) polegający na manipulowaniu asocjacjami. Fakt, czy dane zdarzenia są prezentowane jako powiązane lub odseparowane, wpływa zazwyczaj na ich interpretację. Rozpatrywane wypadki mogą być przedstawione w różnym kontekście („contextual framing”), służącym wytworzeniu pożądanego wizerunku grupy. Przykładem może być obecna ostatnio w mediach dyskusja na temat wprowadzenia stanu wojennego. W zależności od zastosowanego kontekstu, generał Jaruzelski może być oceniany jako przestępca lub bohater.

Ramy tej publikacji nie pozwalają na szersze omówienie zjawiska nostalgii za PRL-em. Różnorodność czynników, które należałoby wziąć pod uwagę jest ogromna. Bardzo ważną rolę odgrywają tu warunki społeczno-ekonomiczne. Nie należy jednak umniejszać roli zjawisk pamięciowych. Duża idealizacja PRL-u we wspomnieniach Polaków sugeruje istotność rozwiązania roli mechanizmów pamięci kolektywnej, a w szczególności ich zniekształceń. Autorka jest obecnie w trakcie badań mających na celu m.in. weryfikację zaprezentowanych hipotez.

¹ B. Cichomski, T. Jerzyński, M. Zieliński, „Polskie Generalne Sondaże Społeczne: skumulowany komputerowy zbiór danych 1992-2005”, ISS UW, Warszawa 2005.

Autorka jest doktorantką Międzywydziałowych Interdyscyplinarnych Studiów Doktoranckich przy Instytucie Studiów Społecznych UW. Tekst pochodzi z polskorozyjskiego seminarium „Rola historii i kultury we współczesnym życiu politycznym Polski i Rosji oraz ich wzajemnych stosunkach”, zorganizowanym przez ISS w październiku 2008 r.

Instytut Studiów Społecznych UW, założony w 1991 r., prowadzi badania interdyscyplinarne i międzykulturowe, z zakresu socjologii, psychologii, ekonomii, politologii, demografii oraz geografii społecznej. Do głównych celów Instytutu należy m.in. obserwacja procesów społecznych, politycznych oraz ekonomicznych zachodzących w społeczeństwach Europy Środkowej i Wschodniej. Stałym programem badawczym ISS, prowadzonym od 1992 r., jest Polski Generalny Sondaż Społeczny (PGSS) wraz z międzynarodowymi modułami tematycznymi International Social Survey Programme (ISSP). Instytut jest partnerem Institute for Social Research, działającego przy University of Michigan.

Warszawa Chopina

KATARZYNA ŁUKASZEWSKA



Dietrich, J.F. Piwarski, Pałac Kazimierzowski wraz z oficynami, 1840, Gabinet Rycin BUW

W wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej, Warszawa przestała odgrywać rolę europejskiej stolicy, nie stała się jednak pustynią kulturalną. Początek XIX w. to okres rozkwitu miasta i znacznego wzrostu liczby jego mieszkańców. Rozwiniął się przemysł, handel, szkolnictwo. Powstały nowe instytucje użyteczności publicznej. Wzniesiono gmachy, które do dzisiaj świadczą o kunszcie architektonicznym ich twórców. Warszawa tętniła życiem, a jednym z jej centrów był utworzony w 1816 r. Królewski Uniwersytet Warszawski. – Te czasy to również rozwój życia muzycznego – koncertów, wydawnictw muzycznych, fabryki fortepianów. Warszawskie premiery operowe miały miejsce niedługo po światowych prapremierach – opowiada muzykolog, prof. Zofia Helman z Instytutu Muzykologii UW.

Jednym ze świadków szybkiego rozwoju miasta i uniwersytetu był młody Fryderyk Chopin, który mieszkał w Warszawie od 1810 r. Ojciec kompozytora, Mikołaj Chopin objął wtedy posadę nauczyciela w Liceum Warszawskim, którego siedzibą a zarazem pierwszym warszawskim domem Chopinów, był Pałac Saski. W 1817 r. wraz z przeniesieniem liceum do Pałacu Kazimierzowskiego, przeprowadziła się tu również rodzina kompozytora, zajmując mieszkanie w prawym skrzydle pałacu. Od tego momentu losy autora mazurków i polonezów na zawsze

już splotyły się z Uniwersytetem Warszawskim. Młody Fryderyk nie tylko mieszkał na terenie uczelni, ale także pobierał tu nauki. W latach 1823–26 był uczniem Liceum Warszawskiego a jesienią 1826 r. został studentem wydziału „teorii muzyki, jeneralbasu i kompozycji” Szkoły Głównej Muzyki, kierowanej przez rektora Józefa Elsnera, wchodzącej – jako oddział Sztuk Pięknych – w skład uniwersytetu.

W powszechnej świadomości najważniejszym miejscem w Polsce związanym z Chopinem jest Żelazowa Wola, mimo że kompozytor spędził tam zaledwie kilka pierwszych miesięcy życia. O Warszawie, w kontekście chopinowskim, często się zapomina. Zmienić tę sytuację postanowili organizatorzy wystawy „Uniwersytet Warszawski w czasach Fryderyka Chopina”, prezentowanej w drugiej połowie listopada w Galerii Muzeum UW w Pałacu Kazimierzowskim. – Ideą wystawy jest opowiedzieć o Chopinie tak, by pamiętano nie tylko Żelazową Wolę, ale właśnie Uniwersytet Warszawski, w którym Chopin mieszkał 10 lat i gdzie jego niezwykły talent mógł się rozwinąć – tłumaczy prof. Jerzy Miziołek z Instytutu Archeologii UW, jeden z głównych organizatorów ekspozycji. Wystawa była wspólnym dziełem Zakładu Teorii i Estetyki Instytutu Muzykologii UW, Zakładu Tradycji Antyku w Sztukach Wizualnych Instytutu Archeologii UW

oraz Stołecznej Estrady. Wystawa pokazała, jaką rolę w życiu kompozytora odegrał Uniwersytet Warszawski, jak wyglądała uczelnia w studenckich czasach Fryderyka i jak silnie oddziaływała na życie kulturalne i intelektualne miasta. Młody Chopin uczestniczył w wykładach oraz wystawach artystycznych, odwiedzał gabinety naukowe oraz Muzeum Sztuk Pięknych. Podziwiał nowe uniwersyteckie gmachy i ich piękną architekturę.

Czas spędzony na UW był najpiękniejszym okresem w życiu Chopina, co potwierdza korespondencja z przyjacielem, Janem Białobłockim. W jednym z listów z 1826 r. Chopin wspomina o uniwersyteckich zajęciach, na które od niedawna uczęszczał: „Dowiedź się, moje życie przy tej okazji, że do liceum nie chodzę albowiem głupstwem byłoby siedzieć z musu 6 godzin na dzień [...], kiedy tymczasem czego innego przez ten rok nauczyć się można. Tym końcem chodzę do Elsnera na kontrapunkt ścisły 6 godzin na tydzień, słucham Brodzińskiego, Bentkowskiego i innych w jakimkolwiek związku będących obiektów z muzyką.”

Elsner, zdając sobie sprawę z wyjątkowego talentu Chopina, pozwolił mu koncentrować się na muzyce fortepianowej, był jednak nieugięty w sprawach dotyczących przedmiotów teoretycznych, zwłaszcza kontrapunktu. Obdarzony wspaniałą inwencją melodyczną i łatwością swobodnego improwizowania kompozytor, wyrobił sobie w szkole Elsnera solidny warsztat, dyscyplinę i precyzję konstrukcji. W czasie studiów powstały pierwsze szeroko rozbudowane dzieła Chopina: *Sonata c-moll*, *Wariacje* op. 2 na temat z *Don Juana* Mozarta, *Rondo à la Krakowiak*, *Fantazja* op. 13 na tematy polskie (trzy ostatnie na fortepian z orkiestrą) oraz *Trio g-moll* na skrzypce, wiolonczelę i fortepian.

Gdy w 1829 r. Chopin ukończył naukę w Szkole Głównej Muzyki, Elsner napisał o nim w raporcie: „Chopin Friderik – szczególnie zdadność, geniusz muzyczny”. Rok później, w 1830 r., Fryderyk wyjechał z Warszawy, jak się później okazało na zawsze.

Listopadowa wystawa w Pałacu Kazimierzowskim otworzyła serię wydarzeń poświęconych genialnemu kompozytorowi, których kulminacją nastąpi w roku 2010 – w dwusetną rocznicę urodzin Chopina. – Chcielibyśmy, aby Chopin bardziej się zdomowił w XXI wieku na Uniwersytecie Warszawskim, dlatego rok 2010 będzie rokiem chopinowskim na UW – zapowiedziała podczas otwarcia wystawy prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW.

Współpraca: Anna Korzekwa

Bibliografia:
O. Budrewicz, Olgierda Budrewicza słownik warszawski: historia, ludzie, fakty, kultura, legendy, obyczaje, Warszawa 2004.
Internetowa publikacja multimedialna Fryderyk Chopin: Życie - Dzieło - Tradycja, 2006.
J. Miziołek, Uniwersytet Warszawski: dzieje i tradycja, Warszawa 2005.

Fashionable, dandys, elegant

– moda męska w XIX i na początku XX wieku

LILIANNA NALEWAJSKA



Modas de Paris.
„Magazyn Mód. Dziennik przyjemnych wiadomości”, nr 24/1838 r.

Pytanie o elegancję oraz jak być modnym zawsze będzie aktualne. Zadają je sobie nie tylko panie, ale i panowie, mimo iż moda kojarzy nam się zwykle ze strojami damskimi, kolorowymi fatalaszkami lub wyszukаныmi kreacjami. Kobiety XIX stulecia żyły, aby się ubierać, a swoim wyglądem i strojami wzbudzać zachwyt, zazdrość rywalek i zainteresowanie mężczyzn. Krynoliny, turniury, hafty, falbanki, koronki, atłasy, pekiny, kaszmiry, aksamity – bujność form, bogactwo kolorów i deseni. Barwny, obfity strój kobiety przesłaniał skromne formy męskiego ubioru. Być

może dlatego więcej wiemy o krynolinach i turniurach niż o surdutach czy paletotach. Jak zatem wyglądał elegancki pan w dawnych czasach? Dziewiętnastowieczna moda męska nie tworzyła już tak spektakularnych form ubiorów, jak w wiekach poprzednich. Zmieniające się warunki i sposób życia, rozwój techniczny, przemiany polityczne, społeczne i gospodarcze – wszystkie te czynniki wpływały na męską modę i jej ewolucję w kierunku standaryzowania i ograniczania przepisami etykiety. Czytając „Lalkę” Prusa, czy inne powieści pozytywistyczne, wyobrażamy sobie panów we

frakach, surdutach, paletotach. Ale przecież moda męska była o wiele bogatsza. Mężczyźni nosili algiery, bekiesze, burnusy, talmy. W zaciszu domowym przebierali się w robde-szany, czyli piękne kolorowe szlafroki o orientalnych barwach. Nieodległa ta przecież epoka jest już dziś niemal nieznana. Nadszedł zatem czas, by przypomnieć, co nosili mężczyźni w dawnych czasach – okazję ku temu dała, zaprezentowana niedawno w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, wystawa „Fashionable, dandys, elegant. Moda męska w XIX i na początku XX wieku w czasopiśmie ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie”. Była to już druga odsłona w BUW poświęcona modzie – po ubiegłorocznej wystawie „Piękna niewiasta” (czyt. M. Jarosławska, „Piękna niewiasta w BUW”, „Uniwersytet Warszawski” nr 3/2007 r.).

Moda jest bardzo złożonym zagadnieniem. To nie tylko stroje, to obraz wielu czynników – ekonomicznych, politycznych, kulturalnych. Jednocześnie strój ma podkreślać osobowość, indywidualność danej osoby. W XIX w. moda podlegała przepisom bardzo sformalizowanej etykiety, której przestrzeganie było niejako znakiem przynależności do uprzywilejowanej klasy, wskazywało na pozycję społeczną, podkreślało ambicje i aspiracje mężczyzny. Moda niosła ustalone kody znaczeniowe, swoisty język. Jego znajomość i umiejętność stosowania wskazywały, czy mężczyzna był „elegansem salonowym najlepszego tonu” czy tylko modnisiem; czy miał dobry gust, czy bezmyślnie naśladował mody zagraniczne. Ówczesne spotkania towarzyskie czy np. wyjścia do teatru były świetną okazją do obserwacji i bycia obserwowanym, należało zatem znać obowiązujące zasady i ściśle ich przestrzegać. A dotyczyły one tak szczegółowych elementów, jak choćby liczby i rodzaju guzików, czy szerokości kłap. By prześledzić zmiany zachodzące w ówczesnych trendach mody oraz poznać szczegóły męskiego stroju i ówczesne wymogi dotyczące elegancji, najlepiej sięgnąć do źródeł – ówczesnych czasopism, których bogata kolekcja znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej.

Ważną kwestią było (tak jak i dzisiaj) zaprezentowanie nowej garderoby w odpowiednim miejscu publicznym. Należało bywać na „salonach mody” – w Paryżu to Longchamps, w Londynie Hyde-Park, a w Warszawie Białany. „.../ Białany, jest to u nas Long-champs Paryżkie. Od Białan ustalają się wszelkie mody, i wyrokują co niemal nosić będą całe

lato” (Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości 1835 nr 22, s. 132). „Salonami mody” były też warszawskie parki. „Ogród Saski, ogród Krasiński [które] od rana napelniają się spacerującym światem; od rana też ujrzyć można najświeższe ubrania, a ta strojność niby na pół od niechcenia, bez pretenzji, bez nagromadzenia ozdób, tak sprzecznym ubraniu negliżowemu, jest prawdziwie dobrze zrozumianą strojnością” (Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości 1847 nr 27, s. 163).

Umiejętność wyboru odpowiedniego stroju i dodatków była decydująca, jeśli nie chciało się zostać uznanym za fircyka, modnisia. W 1849 r. „Magazyn Mód” donosił: „W Paryżu dwójka jest klasa strojnisiów: jedna różni się od drugiej niedomiarem, zaniedbaniem niejako elegancji, od przesadnej wykwinutnej. W pierwszej, najwięcej widzisz czarno ubranych, we fraku pod szyję zupełnie zapiętych z czarną chustką na szyi, nie dojrzyś tam ani kamizelki ani koszuli i tacy panowie przekonani, że są zupełnymi fashionable (wyraz ten angielski oznacza eleganta salonowego, najlepszego tonu), nie wiemy czy cechuje także dobry smak w stroju. Druga: lew paryzki, wymuszany, z szpilką brylantową u koszuli, z włosami ufrizonowanymi, których układ zmienia co miesiąc” (Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości 1849 nr 17, s. 103-104).

Liczył się gust i dobry smak. Wyrocznia mody i dobrego gustu był na początku wieku XIX wielki angielski dandys George Bryan Brummel (1778 – 1840). Elegancji upatrywał on w umiarze, prostocie i schludności, przy jednoczesnej dbałości o sposób noszenia ubioru oraz szczególności i jakość stroju. Uważał, że za modą nie należy zbyt gorliwie podążać, a ubiór powinien wyglądać naturalnie i swobodnie. Stroje męskie zmieniały się, ich formy ulegały uproszczeniu. Początek XX w. zdecydował, że elegancja polegała na skromności, prostocie, a jednocześnie dbałości o szczegóły: „O ile strój kobiecy dochodzi do coraz nowych kombinacji pod względem kolorów i formy – u mężczyzn daje się zauważyć utrzymanie w ubiorze tonów spokojnych i przeważnie ciemnych. Sławne powiedzenie Brummel’a: *strój mężczyzny powinien być wykwinutny w każdym szczególe, a jednocześnie tak spokojny i tak dobrze leżący, by człowiek ten wyglądał dystygnowanie bez zwracania uwagi swym strojem*” (Tygodnik Mód i Powieści 1913 nr 36, s. 12). Opinia Brummela sprzed wieku była nadal, na początku XX w., aktualna. Jednak „największą, a bez wątpienia i najwłaściwszą dla mężczyzny elegancją, jest czysta i starannie utrzymana bielizna. Braku jej nie zastąpi choćby najwykwintniejsze zewnętrzne ubranie. [Koszula] stanowi fundament tak kobiecego jak i męskiego ubrania” (Magazyn Mód. Dziennik przyjemnych wiadomości 1861 nr 5, s. 9) – to stwierdzenie pozostanie zapewne ponadczasowe.

Czy zatem „modne” znaczyło tyle co „eleganckie”? To kwestia wciąż aktualna. Wyczuć smaku, dobry gust pomagały, by nie stać



Nr. 1. Sukienka dla chłopczyka od 2–3 lat. Przód. (Do ryc. Nr. 2). (Krój i opis 1 str. T. Nr. V, fig. 15–25).

Nr. 2. Sukienka dla chłopczyków od 2–3 lat. Plecy. (Do ryc. Nr. 1). (Krój i opis 1 str. T. Nr. V, fig. 15–25).

„Bluszcz”, nr 27/1870 r.

się modnisiem. Zawsze trzeba pamiętać, że „zbyttnia /.../ troskliwość o swoją powierzchowność przeistacza częstokroć młodych ludzi w dandys salonowych; mężczyzna dobrze ubrany jest wtedy, gdy strój jego nie rzuca się w oczy. /.../ Można nie dbać o opinię eleganta, ale trzeba być zawsze „un homme comme il faut” [mężczyzna jak się należy] jak mówią Francuzi” (Tygodnik Mód i Powieści 1910 nr 52, s. 11).

Wystawa przypominała wiele „módowych” aspektów, bo przecież moda męska to nie tylko rodzaje strojów. To także rozmaite dodatki do ubiorów, od kołnierzyków i mankietów, po guziki, kapelusze, laseczki, fajki oraz odpowiednio dobraną fryzurę. Elegancki mężczyzna kształtował swój gust od najmłodszych, dlatego pokazane zostały również ubiory chłopięce. W XIX w., podobnie jak dziś, rynek mody był kształtowany głównie przez Francję. Magazyny mód omawiały aktualnie obowiązujące typy i kroje ubiorów, których wzory pochodziły głównie z Paryża, ponieważ „moda ma za ojczyznę Francję, a za kolebkę Paryż” (Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości, 1860 nr 1, s. 6).

Zaskakująca jest obfitość materiału i opisów męskich ubiorów (choć wypadła skromnie na tle mody kobiecej). XIX-wieczne ilustracje były niezwykle starannie wykonane. Wiele z nich pokazuje nie tylko modę, są to

małe scenki rodzajowe prezentowane na tle ogrodu, fragmentu miasta czy we wnętrzu. Dzięki temu możemy dziś lepiej poznać kontekst kulturowy. Nieco zaskakujące, z dzisiejszego punktu widzenia, było prezentowanie panów – „modeli” w starszym wieku (siwych, o silnie zaokrąglonej figurze). Śmieszyc może dziś sposób pokazywania panów – spacerujący eleganci trzymający się pod rękę, uróżniane policzki, loki, wcięcie w talii – bardzo niemęscy według obecnych standardów.

Wystawa w BUW prezentowała modę dla panów z dawnej epoki, a atmosferę odległych czasów wyczarowała dziewiętnastowieczna polszczyzna, bowiem opisy i cytaty zaczerpnięto z dawnych czasopism. W odbiciu magicznej podróży pomogły też rekwizyty udostępnione przez Muzeum Narodowe w Warszawie oraz Muzeum Teatralne i kostiumy użyczone przez Teatr Wielki – Operę Narodową. Ponadto Gabinet Dokumentów Życia Społecznego BUW udostępnił fotografie. Ciekawym dopełnieniem wystawy była prezentacja „Wyzwanie krawata. Krawat jako chorwacki wkład w światowe dziedzictwo kulturowe” zorganizowana przez Academia Cravatica z Zagrzebia i Ambasadę Republiki Chorwacji w Warszawie. Na ekspozycji prezentowane były współczesne dzieła sztuki, dla których inspirację stanowił krawat.

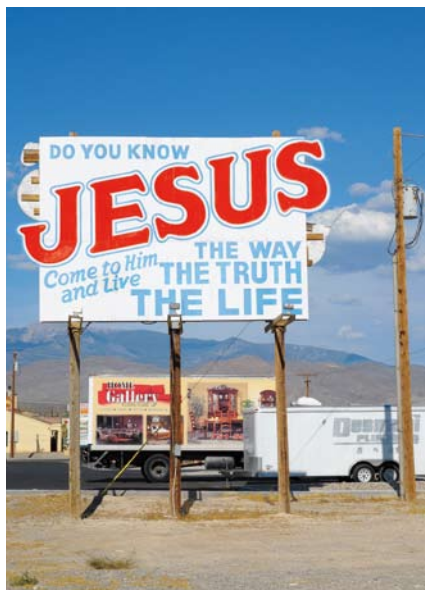
Lilianna Nalewajska, pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, była kuratorem wystawy „Fashionable, dandys, elegant. Moda męska w XIX i na początku XX wieku w czasopiśmie z zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie”, prezentowanej w BUW od 24 września do 7 listopada 2008r. Na stronie internetowej biblioteki nadal można obejrzeć wirtualną wersję wystawy: www.buw.uw.edu.pl/wystawy/modameska. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego opublikowały niedawno książkę, pod tym samym co wystawa tytułem, w której zawarty został znacznie poszerzony materiał ilustracyjny i tekstowy.

Zbawianie Ameryki

– o tym jak naród „white protestant men” zmieniał swoje religijne oblicze

MARCIN WASZAK

„Nasz system rządów ma sens tylko wtedy, gdy opiera się na głębokiej wierze. Mniejsza o to w jakiego Boga.” Dwight D. Eisenhower



Tablica z hasłem „Czy znasz Jezusa”,
Nevada, fot. A. Korzekwa

Interpretacje krachu na Wall Street bywają najróżniejsze; jedna z najciekawszych sugeruje, że kryzys na rynku finansowym to kara za grzech konsumpcji i pazerność Amerykanów. Gdyby tęzę tą potraktować poważnie, należałoby się zacząć zastanawiać, jaki kataklizm dotknie cnotliwych Europejczyków za zbiorową amnezję dotyczącą chrześcijańskich korzeni.

Jacques Maritain, klasyk myśli politycznej i znakomity znawca tomizmu, odpowiadał na te zarzuty dużo wcześniej, oceniając twierdzenie o amerykańskim materializmie (rzekomo grzechu pierwotnym Jankeśmów) jako pomówienie i kłamstwo. Czym jest bowiem idea *civis praeclarus*, dewiza amerykańskich filantropów, jeśli nie wezwaniem do obywatelskiego obowiązku, świadectwem oddania się społeczeństwu, dzięki któremu państwo federalne nie musi wyręczać swoich obywateli w urzeczywistnianiu zasady solidarności? Fundamenty tej mental-

ności to nie tylko wielkie idee ojców założycieli czy zapal pionierów, w małych gminach odbierających lekcje demokracji i odpowiedzialności za ogół. To także poczucie wsparcia Opatrzności, obowiązku życia w zgodzie z nakazami wszechobecnego Boga, który właśnie tu postanowił umieścić swoje „Miasto na górze”, aby odwołać się do słynnego kazania teologa purytańskiego Johna Winthropa, skierowanego do pierwszych kolonistów: „Musimy pamiętać, że będziemy jak Miasto na górze, oczy wszystkich narodów ku nam się zwracają.”

In God We Trust, taką oto deklarację wyznaniową składa nam najpotężniejsza jeszcze do niedawna waluta świata. Dumny napis na banknotach pojawił się za sprawą Kongresu w 1954 r., kiedy polowanie na czarownice z Kremla trwało w najlepsze. Nie był to jedyny skutek uboczny starcia z ateistami spod znaku czerwonej gwiazdy. W tym samym czasie wprowadzono ślubowanie na wierność fładze (*Pledge of Allegiance*), recytowane nie tylko na okoliczność otwarcia posiedzeń Kongresu, ale też z okazji uroczystości odbywających się w szkołach publicznych. Uniwersalna na pozór formuła przypominająca imponderabilia, w imię jakich działa państwo amerykańskie, zawiera jednak kłopotliwą frazę *under God* („w obliczu Boga”). Gdyby maccartyzm mógł mieć własne echo, brzmiałoby ono mniej więcej tymi słowami; w pierwotnej wersji przysięgi z 1892 r. próżno bowiem szukać takiego zwrotu. Ale czy znaczy to, iż amerykańska religijność wynika z potrzeby chwili, znaczonej wewnętrznymi napięciami i międzynarodowymi kryzysami, jak choćby ten po ataku na WTC w 2001 r.? W dalszym toku rozważań teza ta nie znajduje potwierdzenia.

Prawybyory A.D. 2008 zdążyły już pokazać, jak drażliwe bywają wszelkie mariaże sfery religii ze sferą polityki, które niczym kolejne spadki indeksów na Wall Street co rusz wywołują podniecenie Amerykanów. Lecz zarówno baptystyczny kaznodzieja Mike Huckabee ze swoim przywiązaniem do teorii kreacjonizmu, jak i długoletni men-

tor Baracka Obamy, pastor Jeremiah Wright, nieustrudzony piewca teologii wyzwolenia Afroamerykanów, to ledwie epizody w długiej historii trwania słynnego jeffersonowskiego muru oddzielającego instytucje państwowe od sfery sacrum, iście maniachejskiej walki zwolenników jego obalenia i umocnienia.

Genesis

Nie sposób zaprzeczyć, iż religia jest immanentną częścią składową mitu założycielskiego amerykańskiej społeczności. Statek „Mayflower” zdobył sławę równą niemal kolumbowskiemu „Santa Maria”, przy czym niebagatelną wagę miał tutaj nie sam fakt miejsca dopłynięcia, ale „zestaw” pasażerów. W Roku Pańskim 1620 r., z pokładu prosto na suchy ląd Plymouth Rock zeszli szyszanowani na ojcowskiej ziemi za wiarę, należący do purytańskiej sekty, angielscy separatysty. Zanim wraz z kolejnymi falami imigracji na dobre przyłgnie do Stanów Zjednoczonych określenie targowiska religii, protestancki żywioł odegra niebagatelną rolę w kształtowaniu się społeczeństwa obywatelskiego.

Nowy Świat zdominuje odłam protestantyzmu głównie spod znaku Jana Kalwina, aniżeli Marcina Lutra, a więc bliższy modelowi „państwa w Kościele”, do którego skłaniały się kolonie purytańskie. Pierwotna autonomia kongregacji wyznaniowych, zawierająca silny element ludowładztwa, w sposób nieunikniony przeistoczyła się w rządy oligarchiczne, po których stronie w 1648 r. opowiedział się synod w deklaracji programowej oraz w Westminsterkim Wyznaniu Wiary. Ideał państwa Kalwina zakładał jednak proces samorealizacji czy też samokształcenia dokonującego się we wspólnocie, co sprawia, że stworzona przez niego doktryna nie wyzbywa się demokratycznych inklinacji. Purytańscy „teokraci” podobną logiką posługiwali się organizując życie publiczne w koloniach. Poprzez spisanie w pierwszym rządzie *church convent* powoływali do życia kongregację, po czym przychodziła kolej na *civil contract*, czyli właściwą umowę społeczną, prowadzącą do utworzenia zrzeszenia politycznego, zwykle w formie zgromadzenia gminnego (*town meeting*). W anglikańskich koloniach Południa dla odmiany Kalwin ustąpił pola Lutrowi, a państwo i Kościół na wzór brytyjskiej metropolii stały się jednym ciałem. *High Church* przejmowało na tych ziemiach niektóre administracyjne funkcje państwa, przy równoczesnej szerokiej ingerencji kolonialnych gubernatorów w obsadę stanowisk duchownych.

Alexis de Tocqueville, francuski prawnik, który wybrał się w podróż po Ameryce z zadaniem zbadania systemu więziennictwa, a przy okazji opracował jedną z najważniejszych analiz społeczeństwa amerykańskiego (dodajmy krytycznych, choć nie wszyscy chcą to dostrzec), zauważa, iż „purytanizm

(...) był w niemal równym stopniu polityczną teorią, co doktryną religijną". W słynnej umowie społecznej spisanej przez pielgrzymów, w pierwszym zdaniu odwołują się oni do Boga i religii aż trzykrotnie. Nowy lepszy świat kolonizatorzy angielscy, z reguły wywodzący się z klasy średniej, duszącej się w ciasnym gorsecie dogorywającego angielskiego feudalizmu, zasiedlali przez zgola dwa wieki. Akt o Tolerancji, wprowadzony przez Wilhelma III Orleańskiego w wyniku Chwalebnej Rewolucji (1688 r.), doprowadził do zaniku pojęcia angielskich dysydentów, osłabiając religijny zapal europejskich imigrantów. Jednocześnie coraz prężniej rozwijające się ekonomicznie kolonie i rozkwit handlu stały się przyczynkiem do narodzin nowego typu migracji zarobkowej. Zanim dokonała się ta przemiana, swoją ziemię Kanaan nawiedzili pierwsi pielgrzymi (skądinąd zamożni Europejczycy), bynajmniej nie z zamiarem szukania dobrobytu w dzikiej guszy północnoamerykańskiego wybrzeża, lecz z jak najbardziej poważnymi ambicjami stworzenia własnej religijnej utopii.

Prawo „do trzymania się od nas z dala”

Kolonizacja, której nowy pęd nadał król Karol I, nadając tzw. karty ludziom szukającym za Oceanem antidotum na niespokojne czasy syjącego się angielskiego absolutyzmu, przyniosła autonomię pierwszym odrębnym wspólnotom w Plymouth, Providence, New Haven, koloniach Connecticut i Rhode Island. Trzeba przy tym pamiętać, iż przybywający do Nowego Świata żyli wedle surowych zasad – skrupulatnie zresztą wyliczanych przez Alexisa de Tocqueville'a – które sami sobie narzucili. W niektórych koloniach istniało prawo przewidujące karę śmierci dla ludzi przagnących czcić Boga w innym obrządku niż ogólnie przyjęty, nie wspominając już nawet o ustawodawstwie dotyczącym wstrzemięźliwości obyczajowej, karzącym ludzi za pozostawanie poza związkiem małżeńskim czy noszenie zbyt długich włosów. Chociaż sam Tocqueville przyznaje, iż Amerykanie potrafili zachować umiar w egzekwowaniu tych praw, to pisząc te słowa widocznie wyrzucił z pamięci spalone na stosie kobiety z Salem, obwiniane o konszachty z diabłem. Ale inspiracja starotestamentowym prawem z sferze obyczajowej nie miała aż tak szerokiego zasięgu jak ta w sferze politycznej – tu mieliśmy do czynienia i z cenzurem wyznaniowym dotyczącym zarówno biernego jak i czynnego prawa wyborczego, i z powszechnym opodatkowaniem na rzecz Kościoła panującego.

Sekty chrześcijańskie, które łączyło doświadczenie prześladowań przez europejskich władców, teraz poróżniła amerykańska ziemia – w konsekwencji represjonowani przeistoczyli się w represjonujących. Autorytet państwa był przez omawianych dysydentów z Anglii w całości negowany, co nie

znaczy, że sami obywatele nie wprowadzali systemu rządów, który za Maciejem Potzem można nazwać teokracją (z zastrzeżeniem, iż określenie to dotyczy się ortodoksyjnej implementacji prawa biblijnego). Z pewnością *establishment religious*, czyli religia państwowa, dla 10 z 13 kolonii była wspólnym pomysłem na ułożenie relacji państwo-Kościół, z zastrzeżeniem że nadal mieliśmy do czynienia bardziej ze zrębami obu instytucji. Europejczycy przywieźli ze Starego Kontynentu, razem z pszenicą i żytem, jak najgorsze wyobrażenia o religijnej wolności.

Purus, znaczy czysty od grzechu

Zadania przypominającego orkę na ugorze pierwszy podjął się pastor Roger Williams, mający odwagę zerwać z polityką przywołującą na myśl jako żywo znane nam z Augsburga cuius regio, eius religio i doprowadzić do powstania w Rhode Island prawdziwej wielo-wyznaniowej wspólnoty, której akty konstytucyjne z 1643 i 1663 r. gwarantowały, iż religia nie może stać się podstawą do wymierzania kary. Za ustawodawstwem Rhode Island, tą istic rewolucyjną jak na owe czasy filozofię polityczną, wcieliła w życie Pensylwania. Stan ów wziął swoją nazwę od przywódcy kwakrów Williama Penna (z inicjatywy jego protestanckiej sekty zaprowadzono na zasiedlonym obszarze całkowitą wolność religijną dla wszystkich wyznań). Dominia kwakrów, rozciągnięte także na New Jersey oraz Delaware, nie stanowiły jednak wyjątku od zasady dyskryminującej Żydów, oznaczającej, iż wyznawcy judaizmu nie mogli piastować urzędów państwowych (warunkiem ich objęcia była bowiem chrześcijańska przysięga). Do niecodziennej sytuacji, znanej w literaturze jako *the multiple religious establishment* doszło w Nowym Jorku, gdzie pod rządami brytyjskimi w prawach zrównano kilka religii państwowych.

Monogeniczność pierwszych osadniczych wspólnot mocno spajała gminę. Do protestanckiego wyznania przyznawało się 95% europejskich osadników, z czego 90% przynależała do kościoła ewangelicko-augsburskiego. Dodając do tego fakt, że nieprzypadkowo dla zasiedlanych w pierwszej kolejności terenów na północno-wschodnim skrawku amerykańskiego kontynentu ukuto wspólną nazwę Nowa Anglia, dostaniemy społeczeństwo niemal idealnie homogeniczne, składające się w 85% z anglojęzycznych kalwinów. Wiele wody będzie musiało jeszcze upłynąć w rzece Św. Wawrzyńca, aby o amerykańskim społeczeństwie zaczęto mówić jako o *melting pot*. W naturalny sposób z protestanckiego ducha wyrósł amerykański establishment i do dziś Amerykanie wnikliwie patrzą w dossier kandydata na prezydenta w rubrykę „przynależność do Kościoła”. Tylko raz wybory prezydenckie pozwolono wygrać kandydatowi o wyznaniu innym niż protestanckie – w 1960 r. najważ-

niejszy foteł w Gabinetie Owalmym Białego Domu dostał katolik John Fitzgerald Kennedy. I on jednak wcześniej musiał złożyć wyborcom wiele deklaracji, świadczących o tym, iż nie ma zamiaru prowadzić polityki podległości wobec Stolicy Apostolskiej, a pojęcie ultramontanizmu jest mu co najmniej obce.

I know nothing

Mimo że Amerykanom obce było pojęcie *auto de fe*, to i tutaj ołtarz został zbrukany krwią, choć skala wydarzeń nie uprawnia do porównań ze Świętą Inkwizycją. W pewnym okresie jednak, w trakcie gorącego lata 1844 r., w kolebce amerykańskiej państwowości, cichej i inteligenckiej Filadelfii, 2 katolickie kościoły, a wraz z nimi 12 ludzi obrócono w popiół. W dużej części wydarzenie to można interpretować jako pokłosie ruchu natywistycznego, który w połowie XIX w. sięgnął szczytu swoich możliwości – American Party zdobyła 21% głosów w wyborach prezydenckich w 1856 r. Sam ruch, formujący się już od 1843 r., występujący wcześniej w kostiumie Native American Party, zapisał się w historii jako cokolwiek niechętny narastającej fali imigracji i naturalizacji imigrantów, w szczególności irlandzkich katolików. Po latach będzie przywoływać się głównie jego nieco ironiczną nazwę, wskazującą na półtajność funkcjonowania tego ruchu, Know Nothing (jego członkowie, pytani o własną działalność, odpowiadali zwykle *I know nothing*).

¹ M. Potz, Granice wolności religijnej. Kwestie wolności sumienia i wyznania oraz stosunku państwa do religii w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Wrocław 2008, s. 210.

² Ibidem, s. 243.

³ G. J. Bellinger, Leksykon religii świata, Warszawa 1999, s. 96.

⁴ R. M. Malajny, Mur separacji- państwo a kościół w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Katowice 1992, s. 19.

⁵ Ibidem, s. 26-28.

⁶ A. de Tocqueville, O demokracji w Ameryce, Warszawa 2005, s. 34.

⁷ N. Ward, Prosty szewc z Agawam, za: R. Malajny, op.cit., s. 23.

⁸ A. de Tocqueville, op.cit., s. 38.

⁹ M. Potz, op.cit., s. 35.

¹⁰ G. J. Bellinger, op.cit., s. 97.

¹¹ R. Malajny, op.cit., s. 45.

¹² W. R. Hutchison, Religious pluralism in America: the contentious history of a founding ideal, Yale University Press 2003, s. 21.

¹³ W. R. Hutchison, op.cit., s. 17.

Autor jest studentem IV roku INP UW oraz członkiem SKN „Spiritus Politicus”, działającego od lutego 2008 r. na WDiNP UW. Koło jest organizatorem spotkań z serii „Schizofrenia Wujka Sama?” oraz „Tradycje przywództwa politycznego w XX-wiecznej Polsce”. Od stycznia 2009 r. „Spiritus Politicus” planuje rozpocząć wydawanie pisma, w którego pierwszym numerze będzie można przeczytać rozszerzoną wersję powyższego artykułu. Więcej o działalności koła na stronie: www.spiritus-politicus.cvv.pl.

Dwie Uranie

Gipsowy odlew posągu stanął przy Szkole Głównej

HUBERT KOWALSKI

Wznosząc w 1910 roku uniwersytecką bramę, ustawiono w jej niszach, posągi Ateny i Uranii, z których pierwsza trzyma w ręku hełm, druga zaś glob.

Rzeźby Zygmunta Langmana, pomimo że silnie uszkodzone, trwały na swoim symbolicznym posterunku najprawdopodobniej do końca lat czterdziestych XX wieku. Symbolizujące mądrość, wiedzę i pokój, odarte ze swoich atrybutów jeszcze przez kilka lat po wojnie witały pierwszych studentów i profesorów powracających przez bramę na teren naszej uczelni. Można przypuszczać, iż właśnie dla tych „wracających” symbolika dwóch stojących kamiennych postaci z wejścia w zapomnianą rzeczywistość, była niezwykle głęboka. Z pewnością miała szerszy wymiar niż obecnie przypuszczamy.

Niestety dzisiaj jedyną pamiątką obydwu rzeźb są tylko zdjęcia archiwalne. Mityczne boginie zdjęte najprawdopodobniej na przełomie lat 40. i 50. do dziś się nie odnalazły.



Posąg Uranii, fot. H. Kowalski



Urania przed renowacją, fot. H. Kowalski

Przez ponad 30 lat nisze w bramie wypełniała pustka. Dopiero w roku 1979 komisja pod przewodnictwem profesora Tadeusza Jaroszewskiego rozpoczęła prace nad rekonstrukcją rzeźb.

Odtwarzanie figur rozpoczęto od wykonania modeli w glinie, wykorzystując zdjęcia przedstawiającego bramę w okresie międzywojennym.

21 listopada 1980 r. komisja „przyjęła bez zastrzeżeń model w glinie lewej rzeźby [Urania] w skali 1:1. Po obejrzeniu kompozycji również wyrażono uznanie dla wysokiego poziomu wykonania”. Z opracowanego modelu wykonano odlew gipsowy, w oparciu o który przystąpiono do odkuwania w kamieniu.

„10 grudnia 1981 r. komisja w składzie: mgr inż. L. Credo, prof. T. Jaroszewski, mgr inż. J. Majdecki z Urzędu Konserwatorskiego m.st. Warszawy oraz artyści rzeźbiarze L. Filarski i E. Jeliński przyjęli bez zastrzeżeń odkutą w kamieniu drugą, lewą rzeźbę [Urania]”.

Dokładnie po 28 latach, 21 listopada 2008 roku odlew gipsowy Uranii, który posłużył do odkucia rzeźby obecnie stojącej w niszy bramy uniwersytetu, wystawiony został na skwerze pomiędzy budynkiem Szkoły Głównej, a gmachem porektorskim.

Na ślad istnienia tego odlewu udało się trafić dzięki Edwardowi Jelińskiemu i Jackowi Jabłońskiemu. To właśnie ci dwaj rzeźbiarze wykonali obecnie stojące rzeźby w bramie (pierwszy Atenę, drugi Uranie) i to oni wspomnieli o swoim koledze, który wprost z pracowni przewiózł odlew do ogrodu swojej willi na Mokotowie. Przez 10 lat rzeźba pielęgnowana i zabezpieczana funkcjonowała niemalże jak krasnal ogrodowy. Niestety śmierć opiekuna-rzeźbiarza spowodowała, że przez kolejne kilkanaście lat odlew gipsowy, niezabezpieczony przed warunkami atmosferycznymi, powoli acz skutecznie zmieniał się w destrukcję.

Kiedy w marcu 2005 roku po raz pierwszy trafiłem do wspomnianego ogrodu, stan rzeźby pozostawiał wiele do życzenia. Dzięki pomocy Artura Lomperta i Jerzego Pieszczyrkowa, udało się pozyskać rzeźbę dla uniwersytetu. Nieoceniona również wydała się pomoc dr. Janusza Smazy z Akademii Sztuk Pięknych, który przetransportował rzeźbę i doprowadził do świetności (jego studenci w ramach pracy dyplomowej przeprowadzili konserwację Uranii). Kolejna osoba, która przyczyniła się do ustawienia rzeźby, to Andrzej Kazberuk – konserwator, który zabezpieczył odlew i wykonał cokół. Ustawienie Uranii nie byłoby możliwe również bez udziału prof. Waldemara Baraniewskiego, dr. Tomasza Strączka i Barbary Siedlickiej. Wymieniona trójka miała wpływ na wybór dokładnej lokalizacji rzeźby.

Odlew Ateny został podobno wywieziony na Śląsk. Wszystko wskazuje więc na to, że gipsowy posąg Uranii będzie stał przy Szkole Głównej w osamotnieniu.

Dr Hubert Kowalski jest adiunktem w Zakładzie Tradycji Antyku w Sztukach Wizualnych Instytutu Archeologii UW.

Poczet rektorów UW

Iwan Nikolajewicz Trepicyn - rektor bez twarzy

ROBERT GAWKOWSKI, MUZEUM UW

Przygotowując się do niniejszego artykułu, zrobiłem naprawdę wiele, by zdobyć zdjęcie naszego bohatera. Dokładnie przejrzałem teczkę osobową Iwana Nikolajewicza Trepicyna znajdującą się w Archiwum m.st. Warszawy. I nic, żadnego zdjęcia. Moim znajomym z Rosji i Ukrainy prywatnie obiecałem nawet nagrodę, fundowaną z moich skromnych uniwersyteckich poborów. I znowu nic. Zdjęcia rektora Iwana Trepicyna nie udało się znaleźć. Marna to pociecha, że nie tylko mnie. Oto bowiem Trepicyn jest jedynym dziekanem, którego wizerunku zabrakło w wydawnictwach jubileuszowych Wydziału Prawa i Administracji UW.

Trepicyn urodził się w 1868 roku. Jakies dwadzieścia lat później ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu św. Włodzimierza. Jako świeżo upieczony absolwent wykładał prawo cywilne w Noworosyjsku. Najwyraźniej czymś się musiał zasłużyć, skoro w 32. roku życia otrzymał stypendium Ministerstwa Oświaty i zgodę na pobyt za granicą. Gdy powrócił z Europy Zachodniej, jesienią 1902 roku otrzymał etat na Uniwersytecie Warszawskim. Wykładał prawo cywilne materialne i prawo państwowe. Dyscyplinom tym poświęcił kilka prac, które zdaje się nie były specjalnie odkrywcze. Mimo to w 1904 roku uzyskał tytuł profesora.

W dobie trudnych lat po rewolucji 1905-07 roku, gdy rektorem był Jefim Karski (pierwszy na UW rosyjski rektor z wyboru), Trepicyn piął się dalej. Po śmierci prof. Aleksandra Lwowicza Błoka – dziekana prawa (prywatnie ojca znakomitego poety Aleksandra Aleksandrowicza Błoka) nasz bohater został jego następcą. Mniej więcej w tym właśnie

czasie powierzono Trepicynowi kierownictwo Wyższych Kursów Żeńskich. Przypomnijmy, że kursy te były namiastką studiów dla kobiet, a panie uczęszczające wieczorem na wykłady (zajęcia odbywały się w gmachach UW) same siebie uważały za studentki.

Trepicyn w nagrodę za oddaną służbę na carskiej uczelni, otrzymał medale i wyróżnienia. Największym awansem był jednak wybór na rektora Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego w końcu 1910 roku.

W tym czasie na Uniwersytecie Warszawskim ok. 1000 studentów (także z Politechniki) manifestowało swe niezadowolenie z rządów reakcji. Impuls do wystąpień dała wiadomość o śmierci Lwa Tolstoja, pisarza kojarzonego ze sprzeciwem wobec ówczesnego politycznego układu. Najpewniej wystąpienia na Uniwersytecie Warszawskim zaskoczyły władzę rosyjską. Od 1905 roku starannie przecież uważano, by wśród studentów (głównie już Rosjan) nie znalazł się jakiś rewolucjonista czy polski patriota. Wydawało się, że na posłusznej uczelni nic nieprzewidzianego wydarzyć się już nie może. A jednak. Znowu trzeba było aresztować ok. 100 osób.

Początkowo rywałem Trepicyna w wyścigu do fotela rektorskiego był dziekan medycyny Wasilij Kudrewieckij. Zasadniczą wadą kontrkandydata był jednak wiek. Kudrewieckij był o 10 lat starszy i wkrótce miał przejść na emeryturę. Wygrał więc młodszy.

Trepicyn był rektorem przez trzy lata. Jakim był szefem uczelni? Bezbarwnym. Niczym się nie wyróżnił i niczym nie zasłynął. Prasa warszawska ledwie go zauważała. Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej został zastąpiony przez dotychczasowego prorektora uczelni Siergieja Wiechowa.

W styczniu 1915 roku Iwan Nikolajewicz został przeniesiony do Petersburga, gdzie przyjął posadę w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jego dalsze losy są mi nieznane.

Tekst o Iwanie Nikolajewiczu Trepicynie jest trzynastym z serii artykułów, prezentujących sylwetki rektorów Uniwersytetu Warszawskiego. Pierwszy, poświęcony postaci ks. Wójciecha Anzelma Szweykowskiego, ukazał się w „Uniwersytecie Warszawskim” w lutym 2006 r. (nr 1/26).

OPINIE

Kretynizm

MARCIN KULA

Zdałem wczoraj egzamin testowy z BHP. Winni go zdać wszyscy pracownicy – jak rozumiem od pani rektor poczynając, a na strażnika przy bramie kończąc. Musiałem podkreślić m.in. że:

- lekarskim badaniom kontrolnym podlegają pracownicy, którzy chorowali co najmniej 30 dni (a co mnie to obchodzi? Niech służba pracownicza UW mi o tym powie, przyjmując zwolnienie!);
- zdarzenie jest wypadkiem przy pracy, jeśli jest nagłe, spowodowane przyczyną zewnętrzną, zaistniało w związku z pracą, powodując uraz lub śmierć (a co mnie to obchodzi? Gdy coś takiego mi się zdarzy, to poradzę się – albo poradzi się moja rodzina – prawnika uniwersyteckiego!);
- dla oznaczenia sprzętu pożarowego stosuje się barwę czerwoną (a co mnie to obchodzi? W młodości byłem członkiem pododdziału przeciwpożarowego oddziału samoobrony Instytutu Historii PAN i nigdy nie szukałem zielonej gaśnicy!);
- za stan BHP na Uniwersytecie prawnie odpowiedzialny jest rektor (a co mnie to obchodzi? Gdy zostanę rektorem, zapoznam się z zakresem obowiązków!);
- do obowiązków pracownika w przypadku powstania pożaru należy zawiadomienie straży pożarnej i jeśli to możliwe podjęcie próby gaszenia podręcznym sprzętem gaśniczym (a co mnie to obchodzi? Myślałem przecież, że powinno się stać obok i patrzeć kiedy się dobrze rozhajcuje!);

- w razie alarmu bombowego postępować zgodnie z procedurami, a nie osłaniać podejrzanych pakunków meblami, ani nie polewać ich wodą (a co mnie to obchodzi? Ja już byłem przeszkolony, że w wypadku ataku atomowego należy zakryć się białym prześcieradłem, położyć się i pełzną w kierunku cmentarza);
- częstotliwość szkoleń okresowych w dziedzinie BHP ustala pracodawca, nie rzadziej jednak niż raz na 6 lat (a co mnie to obchodzi? Chyba administracja UW dysponuje jakimś egzemplarzem Kodeksu Pracy?);
- Ze swej strony pozwolę sobie jednak też postawić pewne pytania. Co mnie mianowicie w tym wszystkim obchodzi?
- ile ten kretynizm w wykonaniu Centrum Edukacji, Bezpieczeństwa i Higieny Pracy ERGO-BIS kosztował Uniwersytet?
- jak my się ośmieszamy, gdy jako profesorowie gromadnie korzystamy ze ściągaczek (śmiejecie się, Koledzy Studenci, macie prawo!);
- jak my się upodlamy, uczestnicząc w tym kretynizmie?!

Prof. Marcin Kula jest pracownikiem Instytutu Historycznego UW.

Po zasięgnięciu opinii Inspektoratu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy UW, informujemy, że szkoleniu okresowemu BHP podlegają wszyscy pracownicy szkół wyższych. Obowiązek taki wprowadza „Kodeks pracy” oraz „Rozporządzenie Ministra Gospodarki i Pracy z dnia 27 lipca 2004 r. w sprawie szkolenia w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy”.

Cena szkoleń przeprowadzonych przez Centrum Edukacji, Bezpieczeństwa i Higieny Pracy ERGO-BIS wynosi od 40 do 60 zł od osoby.

Redakcja



Prof. Stanisław Głąb, fot. M. Kluczek

STANISŁAW GŁĄB

8 lipca 2008 r. zmarł prof. dr hab. Stanisław Głąb – wybitny uczony, uczciwy i odważny człowiek; wymagający, ale życzliwy i sprawiedliwy nauczyciel i przełożony, cieszący się wielkim uznaniem i autorytetem wśród swoich studentów, uczniów i współpracowników. Wśród swoich przyjaciół na Wydziale Chemii zwany był „Stanisławem Budowniczym”. Jako dziekan zmienił bowiem zupełnie oblicze wydziału, dokonując jego gruntownego remontu i modernizacji. Przydomek ten, świadczący o wielkich zasługach Stasia dla jego macierzystego wydziału, będzie na zawsze związany z jego nazwiskiem. Jako prorektor UW, poświęcił dosłownie wszystkie siły, aby zrealizować swoje marzenie o pięknym i należącym do ścisłej czołówki europejskiej uniwersytecie.

Stasia poznałam w 2005 r. tuż po wybraniu nas na prorektorów UW. Wiedziałam tylko, że jest wybitnym chemikiem. Okazało się, że jest znakomitym organizatorem, całkowicie oddanym swoim obowiązkom rektorskim. Pracował dosłownie od rana do nocy. Mimo tego zapracowania, zawsze miał dla mnie czas, nigdy nie odmówił mi swojej pomocy i rady.

Stasio pozostanie w mojej pamięci na zawsze, nie tylko jako prawy człowiek, ale i dżentelmen w każdym calu.

Małgorzata Gersdorf

26 października - prof. dr hab. Janusz Zakrzewski

emerytowany profesor UW, specjalista w zakresie fizyki cząstek elementarnych, odkrywca podwójnego hiperjądra, dziekan Wydziału Fizyki w latach 1972-1975, prorektor UW ds. studenckich w latach 1981-1982, znakomity nauczyciel, bezgranicznie oddany pracy naukowej, dydaktycznej i wychowawczej

31 października - Krystyna Dwórska

długoletni pracownik Wydziału Chemii, technik w Zakładzie Chemii Nieorganicznej i Analitycznej

10 listopada - Małgorzata Mikulik

wieloletni pracownik sekretariatu w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, ciepła i serdeczna koleżanka

11 listopada - dr Andrzej Zabłudowski

filozof, długoletni pracownik Zakładu Logiki w Instytucie Filozofii, specjalista w zakresie filozofii analitycznej, zawsze bezgranicznie oddany swojej pracy

14 listopada - prof. dr hab. Krzysztof Wódkiewicz

specjalista w zakresie elektrodynamiki i optyki kwantowej, od początku swej kariery naukowej związany z Wydziałem Fizyki, wieloletni kierownik Katedry Optyki Kwantowej i Fizyki Atomowej Instytutu Fizyki Teoretycznej, promotor wielu prac magisterskich i doktorskich, znakomity naukowiec i opiekun studentów

22 listopada - prof. dr hab. Witold Hensel

archeolog, specjalista w zakresie wczesnośredniowiecznej historii i archeologii Słowiańszczyzny, przez ponad 30 lat związany z UW, w latach 1955 – 1969 kierownik Katedry Archeologii Słowiańskiej oraz Katedry Archeologii Pradziejowej i Wczesnośredniowiecznej, przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Archeologii, znakomity uczony, opiekun studentów

23 listopada - Andrzej Bodytko

wieloletni pracownik Instytutu Historycznego, prawy i uczciwy człowiek, zawsze oddany sprawom pracowników i studentów, serdeczny kolega

25 listopada – dr Joanna Aksamić

archeolog, specjalista w zakresie archeologii Egiptu, uczestniczka misji archeologicznych w Minshat Abu Omar i w świątyni Totmesa III w Deir el Bahari



Na okładce:

Kobiety tuareckie grające w grę *isgagan*, pogranicze Nigru i Mali, fot. W. Rybiński

Wydawca:
Uniwersytet Warszawski

Adres redakcji:
Krakowskie Przedmieście 26/28, 00-927 Warszawa,
tel. (+48 22) 55 20 656, 55 20 740, fax (+48 22) 55 24 066
e-mail: biuro.prasowe@uw.edu.pl

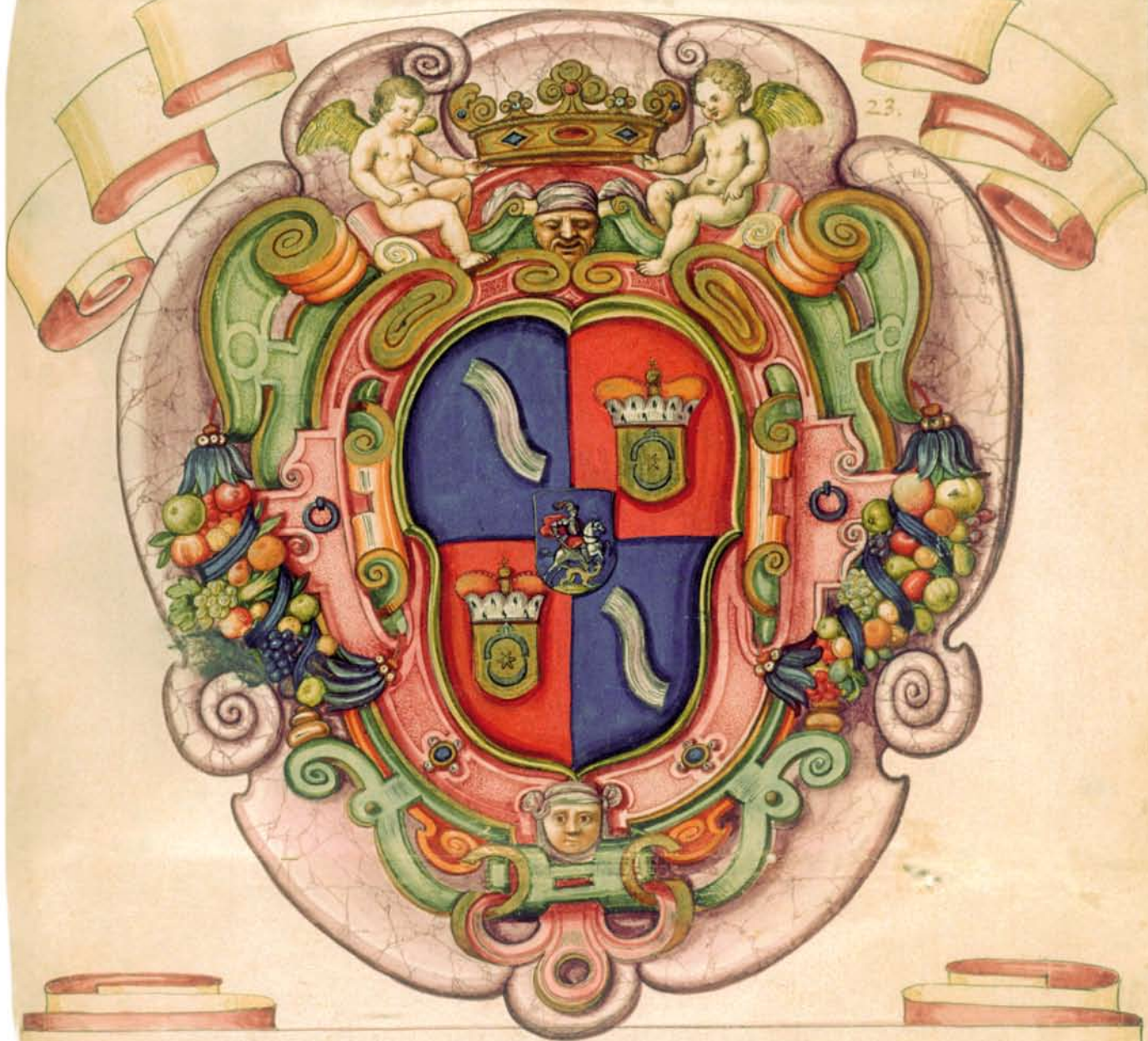
Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania, dokonywania skrótów oraz odmowy publikacji nadesłanych materiałów.

Druk: Poligrafia GREG Grzegorz Sitek
Skład i łamanie: Darek Krupicki – Poligrafia GREG Grzegorz Sitek

Redaguje: Biuro Prasowe UW
(Justyna Jasiewicz-Hall, Anna Korzekwa,
Katarzyna Łukaszewska – redaktor naczelny)

Stale współpracują:
dr Robert Gawkowski, prof. Wojciech Tygielski

Prima Spes in arduo



*Georgius Comes in Wiśnicz Lubomirsky
Terrar. Rusiae Palatinus
12 Aprilis A.D. 1636.*